



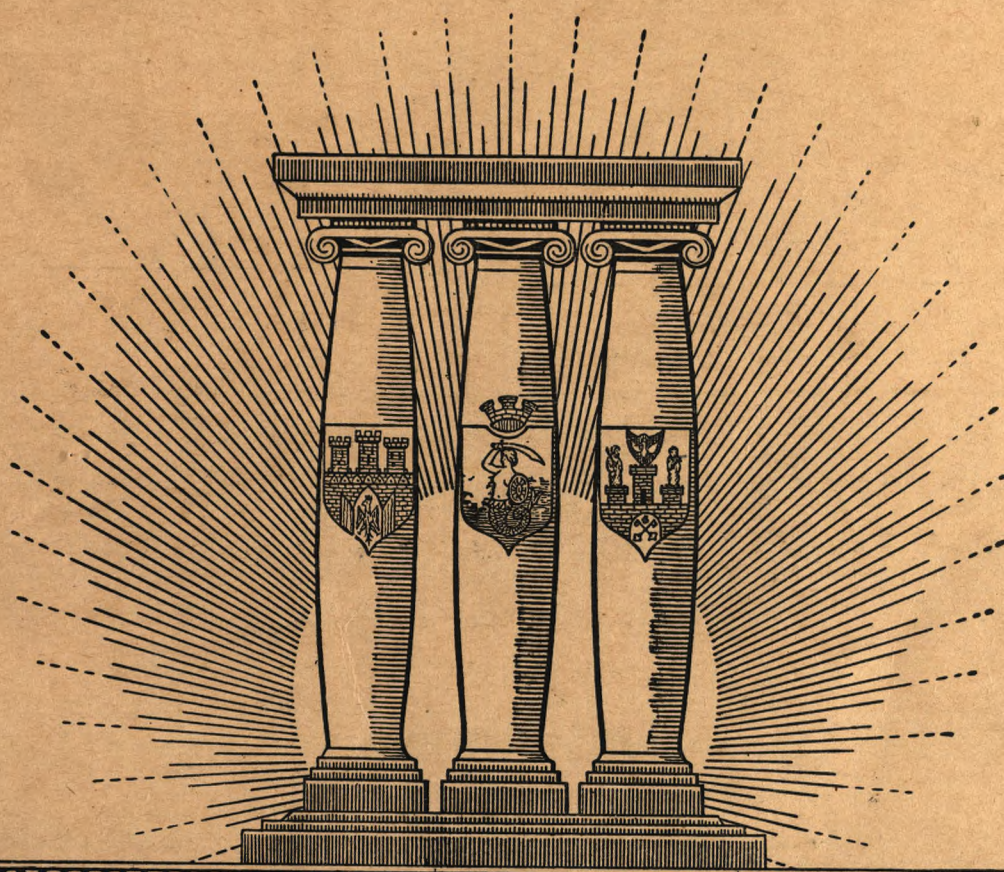
ROZWIĄZANIE
POLSKA

WARSZAWA

STYCZEŃ

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



ROK VI.

STYCZEŃ—1932

WARSZAWA

<http://wrcin.org.pl>

KSIĘGARNIA

ANTYKWARIAT



C 45146

„SŁOWO KATOLICKIE”

najtańszy w całej Polsce ilustrowany religijno-społeczny. Numer 10 gr. — Rocznie 5 zł.

„SŁOWO KATOLICKIE” może i powinien w każdej rodzinie katolickiej, ze względu na taniość, co w tych ciężkich czasach pierwszorzędna.

„SŁOWO KATOLICKIE” — walczy o sprawiedliwość, walczy o prawa robotnika i rolnika.

„SŁOWO KATOLICKIE” broni lud pracujący przed wyzyskiem, niesprawiedliwością i krzywdami, bo jego hasłem: „Sprawiedliwość i miłość”.

„SŁOWO KATOLICKIE” pisze o wszystkim, co każdy czytelnik wiedzieć chce i musi.

„SŁOWO KATOLICKIE” zamieszcza stale: Ewangelię, naukę niedzielna, podaje artykuły w sprawach państwowych, społecznych i wychowawczych.

„SŁOWO KATOLICKIE” podaje wieści z kraju i zagranicy.

„SŁOWO KATOLICKIE” informuje o ruchu Akcji Katolickiej i życiu młodzieży.

Adres: Łódź, ul. Ks. Skorupki Nr. 1a.

ŻADAJCIE BEZPŁATNYCH NUMERÓW OKAZOWYCH.

**Czy jesteś już członkiem L. O. P. P.?
Jeśli nie, to uczyn to natychmiast!**

W piśmie naszej działalności
JEST

„MAŁY APOSTOŁ”

nowy miesięcznik za 2 złote na cały rok.

„Mały Apostoł” jest w domu, nie ma dzieci niegrzecznych.

„Małego Apostoła” jest tak zajmujący, czekać się nie mogą numeru następnego. „Gwarantami Starego Ambrożego”.

ADRES REDAKCJI:

Warszawa, Krak. Przedmieście 71.

Czy wiesz, że
potęga Katolicyzmu
w Polsce jest zależna
od potężnej katolickiej
prasy?

**Dlatego czytaj i rozpowszechniaj
PISMA KATOLICKIE!**

KUP KSIĄŻKĘ POD TYTUŁEM:

„ŚWIAT MURZYŃSKI”

KS. ALOJZEGO MAJEWSKIEGO P. S. M.

długoletniego misjonarza w Kamerunie

Ks. A. Majewski, znany autor, stworzył swymi książkami opisującymi życie centralnej Afryki poważną pozycję w dorobku ludoznawczym.

Ostatnio wyszła z pod jego pióra książka „ŚWIAT MURZYŃSKI” napisana pięknym, swobodnym stylem, stanowiąca miłą lekturę, wprowadzając nas w tajniki świata murzyńskiego. 27 tablic ilustr. dwustronnych zdobi to dzieło.

Cena 5.50, z przesyłką 6.00 zł.

Zamawiać: „Wydawnictwo Księży Paliotynów”

Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOŚI

RO CZNIE:

Polska	zł. 10	Czechosłowacja	kor. cz. 60
Niemcy	R. mk. 3	Ameryka	dolary 2
Francja	frank 35	Inne kraje	fr. szw. 10

POŁROCZNA prenumerata w Polsce — 5 zł.; KWARTALNA — 2.50 zł, Cena Cena POJEDYŃCZEGO numeru 1 — zł.

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak. Przedmieście 71.

Telefony Administracji: 240-15 Redakcji 503-59, P. K. O. 14.664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 3 — 5 po poł. rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

P.11-139 <http://rcin.org.pl>

RODZINA POLSKA



MIESIĘCZNIK
ILUSTROWANY

ROK VI. WARSZAWA, STYCZEŃ 1932



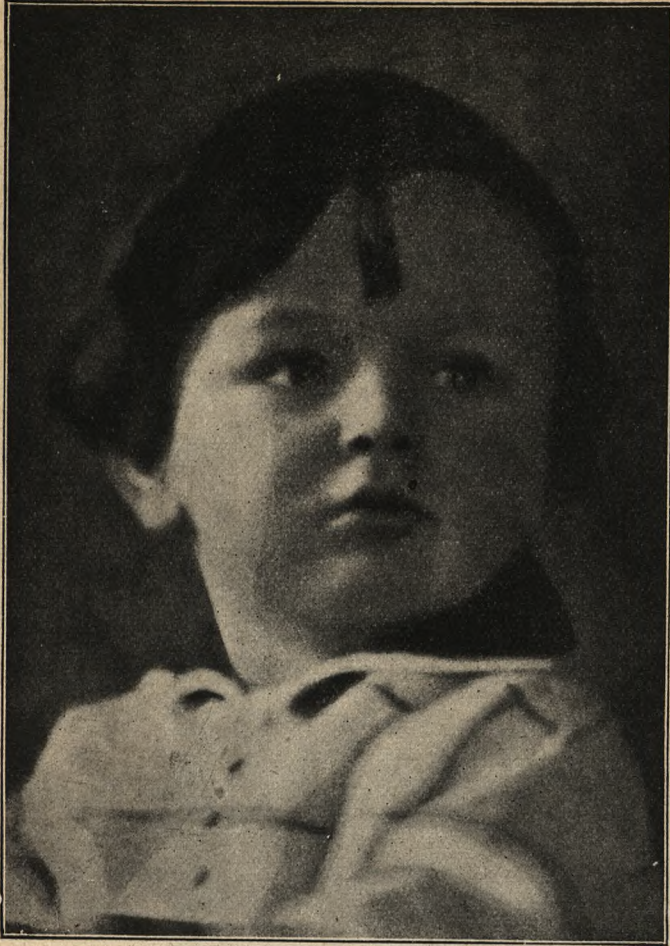
M R Ó Z

Posrebrzył drzewa i porozwieszał
Szron swe okiście;
Wiatr silnie zadął, ze śniegiem zmieszał
Pożółkłe liście.
Mróz — tęgi mocarz, potężnie ścisnął
Wód ciemne tonie,
Pod jego tchnieniem naraz zawisnął

Lód — szklane błonie.
W okno nędzarza mróz zajrzał — śpiące
Zobaczył dziatki;
Zaraz na szybach, niby na łące,
Wyrosły lwiątki.
I rachityczne nędzarza dzieci
Przez sen widziały

Kwiat fantastyczny, jak blaski niecił
I... tak skostniały.
A ich duszyczki, czyste jak łezki,
Znikły w błękicie.
Poszły, by zanieść przed Tron niebieski
Skargę na życie.

Zdzisław Jegliński.



DUSZA DZIECKA

Nowoczesna pedagogika uznała, że bez głębszego wniknięcia w psychikę dziecka — wszystkie wysiłki wychowawcze będą mało skuteczne. Aby dziecko dobrze wychować — trzeba je dobrze poznać. Zabiegi wychowawcze muszą być przystosowane do potrzeb życia duchowego dziecka.

Naogół bowiem, zarówno rodzice, a także i niejedni z nauczycieli czy wychowawców, traktuje dziecko nie według tego, jakim ono jest intelektualnie i moralnie, lecz jakim się ono wydaje — ze stanowiska ludzi dorosłych. Zapominamy najczęściej, że dziecko nie rozporządza ani naszym zasobem pojęć, ani nie ma subtelnie wyrobionego poczucia moralnego. Jest ono na progu ledwie swego rozwoju intelektualnego i moralnego, gdy my traktujemy je jak dorosłego i stawiamy mu wymagania, przechodzące jego przygotowanie i odpowiedzialność.

Nie znaczy to, że dziecka i tego, co się odeń wymaga nie należy traktować poważnie. Owszem, dziecko winno być traktowane poważnie — największe bodaj spustoszenie czyni w jego duszy „zabawkowy“ doń stosunek.

Dziecko nie jest zabawką dla starszych, z którą się postępuje według kaprysu. Niewolno więc dziecka, złajawszy za byle co, tak z nieopanowanego gniewu pochwili tulić i całować, nieomal przepraszać. Dziecko

prędko wyda sąd o tem, albo dojdzie do przekonania, że dzieje mu się niesprawiedliwość, albo, że traktuje się je nieszczerze. Przy takim postępowaniu wyrabia się w dziecku nieufność i lęk względem starszych — zaczyna się ono maskować, ba — samo się wdraża do takiego wybuchowego, nierównego, nacechowanego fałszywą czułościowością postępowania.

Obserwowałem raz dziewczynę, która bawiła się lalką, usadowiwszy ją przy maleńkim stoliku przed filiżanką. W pewnej chwili dziecko woła: czekaj ty smarkaczu, wylałaś kawę. Już ja z tobą pogadam.

Chwyta lalkę na kolana, zagina sukienkę i trzepie, ile sił. Następnie udaje płacz — uhh, uhhh, uhh, — tuli lalkę do piersi i szepcze: „niedobła mamusia zbiła maleństwo“.

Pytam się malej: „co robisz“? Zawstydzila się, a potem powiada: „ja się bawię w dom“.

Ot i macie. Patrząc, czy doświadczać niewłaściwego postępowania — dziecko wdraża się do tego od maleństwa, nic dziwnego, że potem jako starsze „na swoim“ — nie wiele lepiej będzie wychowywać własne potomstwo.

Dotknęliśmy tu ważnego problemu — sprawy karania dzieci. Dziś naogół mówi się niechętnie o tem, nauczycielstwo wypowiada się zwłaszcza przeciw karze cielesnej. Stosunki jednak panują najchaotyczniejsze. W rezultacie obala się teoretycznie pożyteczną instytucję kary, gdy w praktyce hula kapryśny bicz czy „klaps“...

Atak „humanitarystów“ winien zaś być skierowany na okrucieństwo, stosowane przy karze jak z drugiej znów strony na ckliwość i cackanie się z małym winojajką.

Pedagogiczna wartość kary polega zaś na jej niefałszowanej, ani okrucieństwem, ani czułościowością — surowości. Przytem to ostatnie nie oznacza bynajmniej, że trzeba dziecko przedewszystkiem bić. Nie mam zamiaru wypowiadać tu żadnej pochwały bicia. Przeciwnie, chcę zwrócić uwagę, że o wiele większy wpływ, na niezsputaną jeszcze duszę dziecka, wywiera nie bicie, lecz kara moralna, (n. p. matka odmówi dziecku uścisku na dobranoc). Oczywiście, gdy już wpływy postronne nauczyły dziecko knąbrności, wyrobiły w niem zachwalstwo, to i charakter kary musi być inny. Ale i tu należy pamiętać, że kij — to extrema necessitas. Najpierw dlatego, żeby nie odbierać mu uroku grozy, a następnie, że bicie często sprawia erotyczną sensację, przedwczesnie rozbudzając płciowo. Znam wypadki, że dziecko chętnie nadstawiało się do bicia.

Kara bicia niewątpliwie wyradza w niejednym wypadku upodobanie do okrucieństwa, rozbudza dzikie, krwiożercze instynkty, wychowuje sadystów. Jestem przekonany, że, gdyby poszukać w biografjach różnych Maratów czy Dzierżyńskich — to wcale łatwo dogrzebalibyśmy się w ich dzieciństwie czy młodości — śladu doświadczenia okrucieństwa kary. Nie przeczę, że są dzieci trudne do wychowania, wyjątkowo nieposłuszne, niesforne, czyniące zło dla samego upodobania w złem — jak powiada św. Augustyn, opisując nocną kradzież gruszek. Gruszki były bez wartości, lecz towarzysze św. Augustyna kradli je dlatego, by dopuścić się tej szykany. Może zresztą nęciła ich tu przystępność, ryzyko, niepokój przed niepewnym.

Teraz przejdźmy do wielce interesującego, lecz trudnego zagadnienia.

Naogół wołają wszyscy zgodnie, mówiąc o tem lub o owem małym dziecku: „ach, jakie to cudowne, dobre dziecko“!

Czemże się to dzieje, że z tych wszystkich cudownych, dobrych dzieci — wyrasta tyle niedołęgów, hultajów i wręcz lotrów i zbrodniarzy.

Przecież mogłoby być inaczej! Zapewne, gdybyśmy poważniej odnosili się do kwestji wychowania dziecka, gdybyśmy nieprzesadzali najpierw w jego pochwałach i rozczulaniu się, a potem w potępieniach i karceniu. Gdy bowiem przyjrzymy się nawet raczkującemu maleństwu, gdy bliżej rozpatrzmy jego odruchy, to musimy odrzucić czysto estetyczny sąd o „cudowności dziecka“ i jego nienaganności. Okaże się, że przejawia ono zadatki przyszłego charakteru, nie tylko z jego zaletami, ale i wadami. Mówi się „żywe dziecko“ — z niemałą dozą zachwytu, by potem rzucać przekleństwa na podrostka, „ach ty zatracony urwisie, ty szubieniczniku“, co się, niestety — czasem sprawdza..

Ba, bo też takie żywe dziecko od najwcześniejszej młodości musi być przedmiotem specjalnie troskliwej opieki. Tę żywotność dziecka należy skierować na właściwe drogi, dać jej należyte, a pożyteczne ujście. Dziś znakomitym czynnikiem są sporty, które dla podrostka stanowią okazję do nieszkodliwego, przeciwnie, społecznie wyrabiającego wyładowania.

Nie jest wielką sztuką wychować w karności, posłuszeństwie — ślamazarne dziecko. Prawdziwą sztuką jest ująć w karby bujny temperament, nie zgnieść go, nie spaczyć okrucieństwem, lecz opanować i poprowadzić do dobrego. Tu trzeba podpatrzeć w dziecku jego szczególne upodobania i w tym kierunku zainteresować jego wyobraźnię. Trzeba na takie dziecko oddziaływać przede wszystkim własną postawą moralną, nie koniecznie go angażować w kwestje życiowe starszych, lecz należy urabiać w teżyźnie moralnej, tak, by powoli dorastało do obowiązków życia.

Przypomina mi się wypadek, opisany przez gazetę. Do jednego z komisariatów zgłosił się mały 10-letni Józiek Gołębiwski, który przyszedł aż z Lublina, bo „matula kazali poszukać taty, żeby dbał o dom“.

Z tego malca, co piechotą z Lublina szedł w poszukiwaniu ojca — niewątpliwie z czasem wyrośnie tego człowiek.

Urabianie dzieci trudnych wymaga od wychowawcy dużo zalet: cierpliwości i wyrozumiałości. Niekoniecznie trzeba dziecko besztać co chwila, ganić jego każdy krok, by osiągnąć skutek wychowawczy. Wybuchowość temperamentu, jako zjawisko samorzutne, tylko do pewnego stopnia da się skorygować. Ta wybuchowość i bezpośredniość nie może też być uznana zgóry za szkodliwą i niebezpieczną.

Pamiętam takie wydarzenie. Byłem u znajomych. Przy stole malec, straszny wiercipięta, wścibski, lubiący wtrącać swe trzy grosze do rozmowy starszych. W pewnej chwili zniecierpliwiona matka woła:

— Zanim co powiesz, ugryź się w język.

Po chwili malec, krzywiąc się strasznie, znów się wtrąca:

— Mamusiu, czy mogę teraz mówić, bo już się ugryzłem w język.

Ot dziecko. Jeśli więc nie dostrzegamy u dziecka jakiejś specjalnej złośliwości, to nie należy zbyt tłumaczyć jego wybuchowość, gdyż przede wszystkim dzie-



ko takie to typ „głośno myślącego“, istota wielce towarzyska. Stłumiony, nabiera nieufności, staje się skryty. Choć się boi starszych, nie znaczy jednak, że ich szanuje, ma raczej żal z powodu „niezrozumienia“. Powstaje pierwsza gorycz odtrącenia. Kto wie, czy z tego przez kontrast nie wyrośnie mizantrop? lub — tak bywa — hipochondryk? Nie trzeba się więc zrażać tem wszystkim, co się składa na dziecinność nie-dorostków, plynie ona przede wszystkim z niewiedzy i niewyrobienia duchowego.

Było to na ulicy. W powietrzu unosił się aeroplan, którego warkot dobiegał do uszu.

— Mamusiu, czy on Pana Boga zabije? — pyta siedmioletnia dziewczynka.

Matka, opanowawszy pierwsze oburzenie i zdumienie — pyta:

— Dlaczego?

— A bo leci w niebo, gdzie jest Pan Bóg.

— Bóg jest nieśmiertelny.

— Mamusiu, a przecież Pan Jezus umarł na krzyżu i ma ręce przebite.

— Umarł, ale zmartwychwstał i już więcej nie umrze.

— A dlaczego Go zabili?

— Bo są źli ludzie.

— I dlatego jeżdżą aeroplanami i rzucają bomby. Ale ty, mamusiu, jesteś dobra, więc ja się nie boję.

Pamiętajmy, że ta dobroć serca, to jest to, czego dziecku potrzeba.

Cz.

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

NA FALACH CZASU.

Na falach czasu przepłynął rok stary. Jak okręt, co płynie w dal oceanu, jak ptak, odlatujący na wyraj, iak myśl zrodzona w sercu człowieka. Przeszedł, jak przeszło podobnych mu lat tysiące.

Świeżo minione zdarzenia stoją przed oczami naszymi, jako długi okres pracy, trudów i zmagañ życiowych, jako dojmujący do żywego łańcuch smutków i łez, boleści i zawodów, a czasem tylko, z rzadka, radości i wesela, — wielki symbol zmiennej kolei losów ludzkich.

Przeszedł rok i z tego mnóstwa bolesnych żyłek, z których cały był uwity, z tych drobnych, ale dotkliwie raniących kolców życia codziennego, utworzyła się w świadomości naszej jakaś szara, jednostajna masa bez wyrazu, która już nie boli. Już nie ma w sobie, rzechy można, nic z nas, naszej istoty, duszy i serca. Wszystko w niej jakieś dalekie dla nas, niemal obce, chociaż niedawno jeszcze tak dolegało, tak paliło, tak bolało!

Może tylko jakieś chwile nieliczne promienniejsz świecą i żywiej — radość, podkreślona poprzedzającym ją smutkiem, ból uwieczniony weselem, nadzieja, królująca na ruinach... Ale i one, prędzej, czy później, rozplyną się we mgłę przeszłości.

Wszystko popłynie na falach czasu w bezdenną otchłań — wieczność. A tymczasem przyjdą nowe wrażenia, nowe smutki i radości, poleją się stare łzy i stary śmiech ponownie zadzwoni — nieodłączne objawy życia, uczuć, tęsknot, pragnień i myśli ludzkich. Wszystko to już było i wszystko nanowo się powtórzy.

Znow płynąć i dążyć i rwać będzie naprzód prąd życia ludzkiego z nieublaganą siłą... Nie zatrzymując się ani na chwilę, nie oglądając się wstecz, nie roztkliwiając się nad otwartą mogiłą, nad sercem ludzkim rozdartem. Zna bowiem ono tragedje milionów dusz, i całych narodów. Niczem więc niewzruszone popłynie na falach czasu i stale, bez spoczynku, nie opóźniając biegu, podaży do wielkiej, wiecznej przystani. Zdarzenia wielkie, wspaniałe triumfy i klęski straszliwe, wszystko, co dziś rozpala serca, roznamiętnia dusze, co wstrząsa ludzkością, jak morzem niezmiernem, wszystko to wieczność wyrówna, wygładzi. Jak historyk, co spokojnie i z rozważą przerzuca karty historii, układa fakta, notuje daty i zestawia do jednego szeregu najgłośniejsze nazwiska... Tylko tyle...

Niejeden zapewne już rok upłynął w życiu naszym i nie raz jeden dawał nam lekcję pogładowa, że wszystko nasze przelewa w wieczność. Jak najmniejszy ruch nie ginie w przestrzeni, najlżejsza fala nie ztraca się w wszechświecie i najdrobniejsza iskierka nie gaśnie bez celu, tak ani myśl, ani czyn ludzki nie ginie. Na falach czasu wpływają do morza wieczności.

Przemijają nastroje, wrażenia chwilowe się zatrać, ocena i sąd ludzki, pochwała i nagana i poklask tłu-

mów — wszystko to przeminie i pójdzie w niepamięć u ludzi. Ale sam czyn i słowo i najtajniejsza myśl nasza będzie zjawiskiem wiecznym — popłynie do morza wieczności...

Dlatego też każdy z ludzi powinien nareszcie zrozumieć lekcję, jaką mu daje rok życia miniony, na falach czasu uchodzący w wieczność. Wobec ogromu oceanów na kuli ziemskiej, największa rzeka świata jest cieniuchną nitką wody... Podobnież wobec ogromu wieczności największe wydarzenia dziejowe, najgłośniejsze czyny ludzkie są czemś tak nieznacznym, że doprawdy mogą być nazwane niczem.

Zatem rozumny człowiek nie buduje swych zapartywań na sądach chwili obecnej, w których więcej tkwi złudzeń i rozwichrzonej uczuciem wyobraźni, więcej modnych haseł i zasad, niż istotnych wartości i prawdy życiowej. Nie jest to tajemnicą dla nikogo, że fantazja i moda przemijają bardzo prędko. Nic trwałego budować na nich nie można. Jedynie trwałe są zasady, które gruntują się na Bogu Stwórcy i na sumieniu człowieka, obydwu czynnikach wiecznych. I w tych tylko zasadach spoczywa jedynie kryterjum, najwyższa reguła postępowania ludzi i ludów. To tylko bowiem posiada wartość trwałą, co ludzkość zbliża do Boga, do nieba.

Kto sobie i drugim tę drogę ułatwia i ten cel przybliża, ten jedynie podejmuje wartościową, wielką pracę.

Kiedyś, po latach wielu, może narody świata całego baczniejsem okiem wejrzą w przeszłe dzieje, przejrzą dzieła i pisma, wnioską głębiej w myśli wielkich przodków swoich i osądzą trzeźwo, ilu i jakich miały mężów czynu, pionierów prawdziwego postępu. Nie ten bowiem postęp jest wielki, co przekroczy ramy lat dwudziestu pięciu, lecz ten, co w nieskończoność idzie, wieczność ogarnia. I tylko przedstawicielom takiego postępu ludy cześć oddadzą.

Natomiast ocenią sprawiedliwie i z piedestału wielkości, niesłusznie przyznawanej, strącą tych bogów fałszywych, czy półbogów, którzy dla osobistych widoków burzyli spokój i szczęście milionów, którzy szukali tylko siebie, nie zaś dobra i prawdy — jedyne pokarmu pokoleń. Wielkość, w której jakaś jednostka ludzka szuka siebie, jest tak wielka, jak ciasny wymiar danej jednostki, a wielkość opierająca się o Boga i ku Niemu wiodąca, tak jest wielka jak Bóg Nieskończony. I naprawdę wielkością jest tylko ta wielkość, a prawdziwym postępowaniem jest tylko ten postęp.

Od wieków dwudziestu już istnieje na kuli ziemskiej instytucja, powołana do życia przez Jezusa Chrystusa, Kościół katolicki, który tej pracy dokonywa, odróżniając wielkość fałszywą od prawdziwej. I raz po raz wyprowadza na ołtarze prawdziwie wielkie postaci ludzkości — świętych swoich.

Jego sąd o przewijających zjawiskach życia na falach czasu — uczyńmy swoim.





Krajobraz zimowy nad Loisą.

PIEŚŃ RADOSNA

Wy prawdy nie mówicie,
 że noc omracza życie,
 że tylko ludzkie drogi
 krwawiące znaczą głogi.
 Nieprawda. — Z każdą wiosną
 na głogach kwiaty rosną
 a wiosny czar przeplata
 lat biegi i bieg lata...
 I wam się szare życie
 rozwiośni... Zobaczycie. —
 Nie pamiętajcie tylko
 Ogrójca i Golgoty...
 Krzyż — to nie tylko kaźń;
 lecz CHWAŁA — CZYN — i JAŚŃ,
 zmartwychwstań symbol złoty,
 krwią oblan w WIELKI PIĄTEK
 na nowych pór początek!
 Nie topór to — lecz wiosna
 i BOGA pieśń miłosna,
 co nutą niewstrzymaną
 w NIEDZIELE WIELKĄ rano,
 w grzmiący się dzwon rozbija
 po duszach, — w „ALLELUJA”!
 by w niebios lecieć próg,
 chmur ciemnych zwały rwac
 i dźwięków ciec perlami...
 Za srebrny chwycemy róg
 my, — młodź — słoneczna brat
 radosne grać pobudki
 radosne pieśni grać,
 radości żyć mocami,
 radości ziarna siał!

rozkwitły niezabudki — — —
 ...Błękitne niebo nad nami
 a w niebie — — — — —
 dobry B Ó G.

Jan Art.

D R A M A T

Róże — — —
 W znanej purpurze
 W kryształe stały
 Bez wody...

Biedne...
 Płakaly
 Łzami — — —
 Płatkami — — —

Róże — — —
 Słodocy kruże,
 W kryształe drżały
 Bez wody..

Biedne...
 Skonały — — —
 Zbladły — — —
 Opadły — — —

Aleks. Osz-Oszajca.

DO PESYMIŚTÓW

Czemu mówicie,
 wy, młodzi ciałem, a duchem starzy,
 że idealom nie trza otarzyć,
 że smutne życie,
 że człowiek darmo o szczęściu marzy...
 — czemu mówicie?
 Czemu mówicie,
 że świat jest ciemnym okryty cieniem —
 — gdy słońce jasnym błyszczy promie-
 niem
 lato w rozkwicie —
 — wystarczy ziemię objąć spojrzeniem,
 by kochać życie!

Alina Kwiecińska.

NIE WOLNO ULEC...

Jesień złotem fałszu płaci
 Letnich rachunek rozkoszy...
 Po radości zgrzyt rozpaczy...
 Już rdza śmierci się panoszy.

W niebo szare myśl nie płynie,
 Smutek serce trawi tajnie...
 Z gór cień splywa ku dolinie,
 Wkrótce całą ziemię zajmie.

Ciszą śmierci pierś omdlewa
 Żalost gębi, serce truje...
 Stoim nadzy niby drzewa,
 Sieć pajęczą troska snuje.

Skarga w niebo płynie cicha,
 Pośród omdleń i oniemiań...
 Boże ratuj! — duszą zdycha,
 Twą światłością życie przemień!

Ale z niebios cień wciąż splywa,
 Coraz chmurniej jest i szarzej,
 Pustką wieje chlebna niwa,
 Mróz nadzieje wszystkie warzy..

Wreszcie całun śnieżny spada.
 Białym kirem świat się kryje...
 Twardo pisze czas: „zagłada”...
 W trwodze, smutku człowiek żyje.

Jednak ulec nam nie wolno,
 Poddać karku w zwątpień jarzmo...
 Przyjdzie wiosna drogą polną
 I powstanie, co nie zmarło..

Ten, co radość w piersi nosi,
 Nie ulegnie smutku fali,
 A gdy śmierć zwątpiałych kosi,
 W jego sercu słońce pali...

St. Radost.

L. CZERNIEWSKI.

PRZED LATY

(NOWELA).

(Dokończenie.)

Korzyliśmy się przed Bogiem — głosem błagalnym wołając do Ojca z nieba, — do Syna Odkupiciela, do Ducha Świętego, który nas unosił na fali naszych westchnień.

Jak rozkołyszane morze, runęła ta litanja serc ludzkich, poza ściany, poza zrab chaty, popłynęła poprzód tron Przedwiecznego, niewstrzymana, ogromna, wzniosła, drgająca wszystkimi cierpieniami zbolełego, gnębiącego istnienia ludzkiego.

Aż pierwsza fala porywu złagodniała, zcichła, zmieniła się w pszum szczytny, a rzewny, w uroczystą, żarliwą a serdeczną prośbę do Marji.

Jak szum borów odwiecznych, chór głosów męskich płynął, — jak łanów szmer zbożowych kobiecy chór do wtóru.

A Królowa nasza one miłosierne oczy Swoje ku nam obróciła i słuchała modlitwy, słuchała słów naszych, głosu serca naszego.

Głos starca drżący, — ale dziwnie dźwięczny, jak głos dzwonu wołał:

„Święta Boża Rodzicielko“!

„Módl się za nami“...

Chór szum borów i łanów zbożowych powiał.

Światelko lampki chwiała się przed Najświętszem Obliczem, jakoby tchem niewidzialnym unoszone.

„Matko Chrystusowa“,

„Módl się za nami“...

„Matko łaski Bożej“,

„Módl się za nami“...

Chór potężniał i ścichał w ogromnym napięciu serc swoich, — aż one uczucia drżące pod zgrzebnymi koszulami zlewały się, zestrzeliły się falami swoich uniesień, promieniami blasków dusznych w jedno ogromne serce, kołające tętnem wszystkich dzwonów krainy, — płonące ofiarą wszystkich ołtarzy jej

Zatraciłem siebie w tym wzruszonym tłumie i w tej gromadzie wzruszonej, — byłem jedno z nimi, utonąłem cały w fali modlitwy tej w potoku tego światła. — Straciłem czucie odrębne, jeno skupienie ogromne i wicher serdeczny rwał mię naprzód po naszych promieniach, poprzód Oblicze ku Najświętszym dłoniom do Najświętszego, ukochanego, Serca matczynego...

„Matko najmiłsza“,

„Módl się za nami“.

A litanja falowała, — to się wznosiła, to cichła, to bólem nabrzmiała serdecznym, porywała się krzykiem wydartym z głębin serca, — to się rozplýwała rzewna, błagalna prośba, — to uroczystym i wzniosłym, głęboko ufnym spokojem brzmiała.

I skarżyły się, — spowiadały się serca ludzkie, każały się w głębi dusz. Błagały o przebaczenie, o radę, prosiły o pomoc, o umocnienie w boleści i cierpieniach, o łaskę wytrwania.

„Ucieczko grzesznych“,

„Módl się za nami“...

„Pocieszycielko strapionych“,

„Módl się za nami“...

Serca przypadły do Jej stóp, — całowały rąbki Jej szat, kłoniły się przed promiennym majestatem umiłowanej Pocieszycielki.

„Wspomożenie wiernych“,

„Módl się za nami“...

I oto błagały serca ludu zbiedzonego, padającego w znoju walki życia pod krzyżem swoim błagały Królowę Anielską, — Królowę Patriarchów i Proroków i Apostołów i Męczenników...

Aż głos starca uroczysty, potężny, a ogromny od ludu całej ziemi naszej wznosił się

„Królowo Korony Polskiej“,

„Módl się za nami“...

Porwało się wichurą wołanie serc naszych, — zadzwoniło tętnem wszystkich dzwonów świątyń Pańskich i pomiędzy ziemią a niebem...

Zadrzałem w uniesieniu — wszystko mi znikło z przed oczu, — okrom tej lampki i tego Oblicza, które słodką swoją, miłosierną twarzą zapełniło całą duszę ma, — serce porwane wirtem potężnym uniosło się huraganowym pędem.

— O, Królowo Korony Polskiej, — Królowo nasza, módl się za nami!

Nic już nie widziałem, — tylko czułem gorące, gwałtowne uderzenia, licznych, ogromnych serc. — Miljony serc jakby się zlewało w jedno, — potem znów dzieliły i zlewały. — Jakieś, mierzonem tempem, potężne brzmiały uderzenia, jakby kucia milionów młotów, — jakby tentent i szum husarii, — jakby ziemia dudniała pod mierzonemi krokami milionowych zastępów szermiężnych. — Jakby wszystkie dzwony krainy uderzyły w jeden głos, — jakby we wszystkich świątyniach Pańskich, we wszystkich kościołach Ojczyzny-Polski śpiewano:

„Te Deum laudamus“!

* * *

Siedział nieopodal mnie spokojny i skupiony, przeciągając od czasu do czasu swoją spracowaną i żyłastą dłoń po szorstkich, parcianych spodniach. Błękitne, przyćmione, starcze oczy jego, płonęły światłem skrytych lamp, — czasem tylko mieniąc się błyskami gwiazd jakby zza lazuruwej mgły mrugając. W chwilach tych lekki rumieniec przelatywał po jego, bruzdami przeżyć zoranej twarzy, a spokojny głos nabierał hartownej siły. — Wszyscy oni stali lub siedzieli przy nas, skupieni w gromadkę, słuchając dziejów znanych, — dziejów własnych, — spowiedzi serc swoich.

Tak naród tu przepadły i zatracony, mówił Haur Ciarpuczy. — Dawno przed pierwszą wielką wojną polską byli oni narodem katolickim, — wtedy on, teraz starzec blisko dziewięćdziesięcioletni, był jeszcze dzieckiem, — ot, wyrostkiem. Jak on biskup zdrajca, zaprzaniec wszystko przewrócił, — Siemaszko się zwał, — zaprzedał ich jak te barany: — *niachaj jemu hetaha Boh niapomnie*. Myślelim, że Polacy od Warszawy przyjdą na pomoc, — takie słuchy po narodzie



Pasterz i owce.

DANTE ALIGHIERI.

ŚNIEŻYCA

*Na pola i na ulice
deszcz śnieżnobiały
cichy, omdlały,
mży.*

*Tańczy na wielkim niebie
swawolna płatków gromada,
potem na ziemię upada
bez sil.*

*W tysiącu form zastygły,
na ścieżkach, drogach i w parku,
jest w każdym zakamarku,
ni.*

*Wszystko, dokola ucicha —
zasnuty w szemrzącą zawieję,
świat cały obojętnie
milczy.*

*Ale ta cisza niezmierna
wspomnień w mym sercu nie płoszy —
bo o miłości jedynej, najdroższej
myślę*

Przeł. z włoskiego Tad. Kordjasz.

Z CYKLU MATER MATRI

*Miałam dziecinę maleńką,
na długo zabrałeś ją, Boże,
śmierć zgasiła oczy — ogieńki,
całą skulę chłodu obroże.
I została mała mogiła,
ocieniona małym krzyżykiem,
cały świat, cały świat zasłoniła!
nie zapomnę, nie odżyję już w nikim.
Ale wiem: w kryształowym zaświecie,
gdy w niebieskim znajdę się Dworze,
wyjdzie Matka Boska naprzeciw,
i dziecinę w ramiona mi włoży.
Sama odda Matka Najświętsza,
powie: — Patrz, piastowałam ją wiernie! —
Biel obłoków wkoło się spiętrzy
i zakwitną różami ciernie.
Mogę znów ją utulać i pieścić
małe rączki, maleńkie, żywe...
Pochwalona bądź, Matko Bolesci,
za me serce wskrzeszone, szczęśliwe.*

A. Zahorska.



chodzący, toż my unijaty, bracia rodzeni. — Ale gdzie, było po wojnie, mówili, że *Moskali* Warszawu wzięli; — nie przyszedł i Napoljon z pomocą... A tuż Polaki z rozkazania Bożego wiarę dali, *Francuz słabodu dau*, a *Moskal niawolu niasieć*.

Tak ich gnano do cerkwi, na tę inną, moskiewską wiarę przepisywano. — Oni nie szli, modlili się sami, opór dawali. I dawali opór księża; ot i w tej parafji i dalej i w drugiej i trzeciej, — ale ich wszystkich hen na Sybir wysłano, — a kościoły siłą brano. I krew się lała, boć bronili swoich świątyn. Sałdatów nagnali nazwozili z Połocka i aż z Witebska, po wsiach rozsadzili. Tych, co przycichli, trzymali mocno. — oporniejszych bili i wysyłali. Ale się naród przy swoim trzymał, choć cierpiał, to tylko siermięgi i pasy ściągał, czapki na oczy i w sobie się zamykał. — Ślubów nie brali, dzieci nie chrzcili, — tak, żeby tylko z wody i ot żyli jak przyszło się. Choć wojska nasłali do każdej wsi prawie i wszędzie cisnęli, — *hnot wialiki zrobili, ale ściasnuwszy zuby*, myślelim przetrzymamy.

Ot, Ojciec święty może jaką pomoc przyśle. Ale gdzie tam, do Ojca świętego daleko, a wojsko i pop na karku...

A potem to mówili, że i nijak on święty staruszek przyjść z pomocą *nia może*, bo i sam ścieśniony, bo i samemu jemu ziemię jego, co mu Pan Jezus razem z kluczami dał, odebrali. — Takie już czasy przyszły. Tak my myśleli, że już i *Ancychryst* się narodził i świąt maci nieczystą siłą zawodu.

Ze trzydzieści lat tośmy się trzymali, — póki byli starsi, co nad narodem przewodzili, takie, co wiarę świętą dobrze znali i srogo przykazywali coby się trzymać, — tacy co zbierali nas razem na modlitwy potajemne. — Ale tych było coraz mniej. — abo ich zabili, — abo wysyłali i do turmy sadzali, — to i umierali ze starości i z tej wojny.

Westchnął głęboko i ciągnął dalej.

— Ot, ten Jozefat od Uścini, — świeć Panie nad jego duszą, — chłop był tęgi i silny bardzo. a zawzięty wierze, że ani popuścił, a gorący, że jeno popa wyzywał, a won z kościoła pedził, — toć go zabili, pałkami zabili. — a potem jeszcze po prawosławnemu chowali — i *panichidu* śpiewali.

— Także i Uścińja od bicia pomarła. — A, dużo było takich, co ich na Sybir pognali. — Dużo, oj dużo, — dużo mnogo ich było. — A któżby ich zliczył, kto, — tych wszystkich, co za wiarę świętą poszli. — Jako gwiazdy na niebie, — jako drzewa w boru, padało to i ginęło wsiami całemi, — co po nich i śladu nie wiele zostało, — nie to na ziemi. — ale i w pamięci ludzkiej. — Chyba Bóg jeden liczbe ich ma, boć wszystko u Boga zapisane, — a dusze te ichne toć może i w niebo poszły.

Jeszcze panicz był dobry, którego oni byli i ten pomagał... — Pomagał czasem księdzu potajemnie przyjechać, — albo w lasach jego, gdzie się zbierać. We dworze to nie można było, bo tam pilnowali srodze.

— Jakeśmy nocką ciemną szli w te puszcze Oświejską, — to się naród ukrzepił i do walki sposobił. Na ono bicie, katowanie rozradowany wracał, boć zawsze łaską Boską, samym Panem Jezusem pokrzepiony...

Zamilkł, tonąc we wspomnieniach, — aż mgła błękitna w jego oczach starczych zgęstniała. — twarz się powlokła słodką jasnością i z nowym spokojem mówił dalej:

— Aż dali swobodę i ziemię dali, — mówili, że to wszystko cesarz urządził, — ale to nieprawda, bo i dużo było takich panów, co chcieli, żeby takie prawo do swobody i do ziemi dla prostego narodu wyszło. — Ot i ich panicz był taki, — sam im chciał swobodę dać i ziemię i oddać, — ale niepozwolili, sam to widział, ot, na własne oczy.

— A gdzieżby takie, co tak cisną naród swobodę jemu chcieli dawać.

— Ale ot co *Prancus* to przykazał, żeby dana była swoboda i ziemia, — to się oni bali, żeby Napoljon drugi raz nie przyszedł, — i dali.

— A tu panowie zrobili powstanie. — i zaraz nam wszystkim mówili od urzędu, że to dla tego, żeby ziemię odebrać nam i znowu nas w niewole wziąć. — I dużo było takich durnych, co temu uwierzyli. — I ot nawet w Moczyłkach cała wieś poszła z widłami i toporami powstańców łowić.

— Durne! — z zaciętością warknął dziad — na siebie samych, — na swoją biedę to robiła. Bo to nie prawda, — głos jego rozpałił się, a oczy zaczęły się żarzyć, — panowie chcieli Polszczy, chcieli swobody wiary świętej, chcieli na pomoc Ojcu świętemu iść. — A sam słyssałem jak w kościele przed Najświętszym Sakramentem mówili, że chłopci za ziemię nie będą płacić nic, — nie tak jak później, kiedy carskie uradniki ostatnią skórę z narodu dra. — Trzeba było walczyć o swoje. — A toć my też katoliki i Polaki choć po prostemu mówim.

Zakończył z jakowąś dumą i pewnością siebie.

A po chwili namysłu — nawpół do siebie dodał:

— *Hawaryuby pa polski, da jazyk koński*.

— I ot powstanie przyszło — ciągnął dalej. — Bili się panowie da ślachta z lasów, — i nasz panicz poszedł. — A jak skrzyknął to i odna wielu poszło, — bo panicz był *duża dobry i rozumny, takich panów dziś niama, oj niama...* — *I ja paszou za hetu naszou Polszu* wojować. — Myślelim, że odbijem swobodę, odbijem naszą wiarę świętą i naszą Polszcze. — Ale cóż, choć jaro i zawzięto bili się panowie, choć z Bogiem szli, — nie poszczęściło się... nieposzczęściło.

Przerwał mowę swoją z głębokiem westchnieniem wtapiając się myślą w przeszłość. — Złożył spokojnie swoje starcze, weźlowatę dłoń na kolanach, ale oczy jego zamigotały sinawym blaskiem i rumieńce przeleciały po twarzy.

— Nie poszczęściło się, bo jedności w narodzie nie było. — Naród wielmi durny, — durnych za dużo; — ot co. — Wiek przeżyjesz, a mądrości nie przedko nabierzesz; — ot co.

— Tak i wzięli ich, — a potem było jeszcze gorzej, — zmoogli ich. — Przycisnęli i skatowali, — skatowali i przycisnęli. — Potem już i nie wielu zostało, dużo zginęło, dużo wysłali. — Ot, i on był wydany za opór, — choć nie za powstanie, bo o tem nie wiedzieli. — Był wysłany, — blisko lat ze dwadzieścia nie było go tu we wsi, w kraju. — Wrócił potem.

— Jak nie stało co silniejszych, a popodrastali ci po powstaniu, — panicza nie stało, pod Oświejem zginął, — od sałdackiej kuli zginął, — na jego rękach zmarł, — Panie świeć nad jego duszą, — majątek mu zabrali; teraz generalska ziemia. — tak jak nie stało co silniejszych, to się naród podał, — osłabił i podał...

Głęboki, łamiący się ból zabrzmiał w jego głosie, jakby trzask suchych łamanych krzy. Zamilkł znowu... Wreszcie przemówił:

— Tak tu naród przepadły i zatracony!

Milczenie zaległo izbę, — tylko to przyśpieszone, to głębokie były oddechy, jakby zmęczona, schłostana ziemia ciężko swoją olbrzymią robiła piersią.

Płomyk lampki unosił się spokojnie i cicho.

Ogarnąłem spojrzeniem obecnych, — tę trwożną i zbitą gromadę, — i żywo stanęły, przed memi oczyma, zmagania się i cierpienia całych pokoleń dusz rozpacznie walczących z bezlitośnym ciężarem dzikiej przemocy. Krwawa, męczeńska epopeja zapadłych wsi białoruskich przez słowa proste i nieuczzone purpurową wstęgą przesunęła się, — męczeństwo, o którym nie wiedziała, lub wiedzieć nie chciała reszta świata, ale której każdą zgłoskę Bóg w księdze swej wieczności zapisał.

Poważny, o smutnej twarzy gospodarz, szpakowaty już i z czołem zoranem bruzdami, a tkana okryty siermięgą, ozwał się głuchym, urywanym głosem:

— Nie w moc było wytrzymać... nie w moc, ojciec Hauryla. — Młodzi słabsi... Boże odpuść nam...

— Tak, nie w moc... — Powiedział Hauryla. — Jeszcze tamci co im bliżej do kościołów, do parafij katolickich.. gdzie jeszcze księży silniejsi byli, tam łatwiej, — ale tu, w samym unijackim kraju, trudno... wiek taki...

— Póki jeszcze przyjeżdżał ten... — wyrwał się chłop młodszy o konopiastej jak wiecha czuprynie i jasnym oczach dziecka; — rzekł i urwał niepewnie, a trwożliwie.

— Tak, póki przyjeżdżał taki potajemny ksiądz... misyjny... — to było lepiej, silniej — ciągnął spokojnie Hauryla. — Ale później, kiedy słuch o nim zagiął, — pewnie na Sybir zagnali, — później to było coraz trudniej... Jak wróciłem, ciężko było, — oj, ciężko!

Wreszcie uderzył, z jakąś straszną rezygnacją czy bólem dłonią po kolanie i rzekł głosem donośnym, a ostrym jak trzask krzesiwa:

— Tu wszyscy prawosławni, — tu nie ma opornych, — wszystko naród prawosławny, — do cerkwi chodzimy, — śluby bierzem, — dzieci chrzczym... Na cerkiew, — popom dajem...

Mówił szybko, — pośpiesznie.

Ogromne ciężkie, a bolesne westchnienie wyrwało się z piersi całej gromady.

— Naród przepadły i zatracony.

Jakaś kobieta boleśnie zakała; — staruszka ukrywszy twarz w fartuch płakała głośno, — płakała płaczem, żalną skrzywdzonego dziecka, skarżące się i bezbronno.

— Ja jeden oporny, — ale tak oporny, że tylko milczę, stary dziwak, warjat *złumiely* — rzekł z goryczą. — I ten... ten... może z pierwszej chaty Prokop Zmut...

Znowu zapanował gnębiące milczenie.

— Ale ot co nam zostało — ozwał się mocniejszym głosem starzec. — Ot co, — że modlitwy dziadów naszych mówim czasem, — i do Najświętszej Panny się pomodlim... może przebaczy nam... może odpuści... może w pomoc przyjdzie...

— Bracia, — narodzie chrześcijański, — kto się modli do Marji, do naszej Matki w niebie, — ten nie jest przepadły i zatracony... a wysłuchana będzie modlitwa jego!

Zawołałem z mocą, żarliwie, — wzruszony i uniesiony.

Wszystkie twarze, — wszystkie oczy ku mnie się obróciły. — I ujrzałem jakieś dziwne drżące światło wdzięczności. — Staruszka znadź usłyszała mnie, bo wybuchnąwszy zrazu głośniejszym szlochem, — potem odjęła zapasę od twarzy i, przycisnąwszy ręce na piersiach, podniosła na mnie swoją drobną, wyschlą, a zbolałą twarzyczkę, a dziwne światło wewnętrzne opromieniło ją.

* * *

Słyszeli, com długo mówił i żarliwie, — gdy m żegnał ich, serdecznie i gorąco tłoczyli się przy mnie, choć z twarzami tęskno smutnymi, ale jasnymi, — z wielkiem umocnieniem dusz swoich. Kochałem ich i oni to czuli, — wierzyłem w nich i oni to czuli, — modliłem się z nimi i za nich i wiedzieli o tem.

Schyliłem się do ręki starca i całowałem ją, a on drugą dłonią pogładził mi włosy i mówił:

— Dziękuję, synku, — dziękuję dziecino i za to serce i za pokrzepienie. — *Niechajże ciabie paniczku Najświętsza Panienska wiadzie.* — A potem spoglądając głęboko, — *Królowa Korony Polskiej,* — powiedział. — A nie zapomnijże o nas grzesznych, o braciach twoich...

Wyszedłem.

I ogromna tęskliwa rzewność mieszkała w duszy mojej, — i większa jeszcze radość, — a największa wiara, nadzieja i miłość.

* * *

I wysłuchiwała ich, — nie opuściła. — Nie napróżno obracała ku nim one swoje miłosierne oczy i smutną a rzewną twarz powlekała wyrazem miłości. — Nie opuściła i wysłuchiwała błagania ich, przyszła z pomocą dzieciom swoim, — zbolałej i znękanej gromadzie.

Oto nadszedł czas, wstał na wschodzie słońca lud nowy, — a choć był niechrześcijański, ale krzepki i dostojny; i wziął go Bóg za narzędzie swoje, — za miecz dłoni swojej.

I poraził Pan rękami ich królestwo obłudy i nieprawości. — A choć wielu zginęło tam walczących, krwią ich odkupiona została nowa chwila żywota ludzkości.

Obróciła się karta dziejów, ku czasom nowym.

I dano swobodę religii, — bo dać musiano. I oto mogli wyznawać Boga owego ci, co się tajnie kryli; — mogli zaspokoić łaknienie swoje łaknący i pragnienie swoje pragnący.

A zapadła cała ta wieś białoruska, z Haurylem Ciarpuczym na czele, przeszła na łono Kościoła katolickiego, — wróciła na łono Macierzy swojej.

Stanęli pod znakiem Królowej Korony Polskiej, ażeby czekać na głos trąby zmartwychwstania narodu i państwa, — ażeby służyć Polsce, Ojczyźnie swojej.



PRZEZ ALGER

(WSPOMNIENIA Z WĘDRÓWKI).

(Ciąg dalszy).

SIDI-BEL-ABBES.

Wsiadłem do pociągu, idącego w stronę Marokka. Ponieważ tu wszystko chce być stylowe, więc ukazały się zabudowania fabryczne w kształcie meczetu z fałszywym minaretem. Po prawej stronie błysnęła tafla wody, którą w pierwszej chwili wziąłem za morze, a to była sebkha orańska — długie na czterdzieści kilometrów słone jezioro. W zimie ma ono trochę wody, w lecie zaś, po ewaporacji, pokrywa je skorupa soli — ciepły lód Afryki.

Alger dzieli się na trzy strefy, na Tell, gdzie rosną zboża, drzewa i krzewy owocodajne, na rejon Atlasu, pokryty alfa, nędzną trawą i słonemi jeziorami oraz na pustynię, po której rozsiane są liczne oazy. Nie sam Atlas jest jednak uprzewilejowany i sól spotyka się tam wszędzie.

Nie mówię o takim Touggourt, gdzie przyzwyczajenie się do wody trzeba przyplacić dyzenterją, ale na północy w najurodzajniejszych stronach zdarzają się studnie słone. Próbowalem w chwilach pragnienia pić tutejszą wodę czystą, nie dolewając do niej wina, co tutaj uważane jest za rodzaj samobójstwa, lecz w Oranie, żeby sobie na to pozwolić, trzeba mieć dużo zaparcia się siebie. Dziwię się jak można było budować wielkie miasto obok sebkhy!

Sól jednak nie przeszkadza w tych stronach winnicom i ogrodom oliwnym. Przy plancie kolejowym ukazał się również ładny jęczmień, a w nim moc czerwonych maków, które na południu zastępują nasze chabry. Lasu tylko nie było nigdzie widać.

Z prawej i lewej strony zjawily się góry Tessala i Beni Chougrane (żeby nie wprowadzić zamieszania w nazwach geograficznych wszędzie zostawiam pisownię francuską).

Miasto Sidi-bel-Abbès leży już w okolicy bardzo urodzajnej. Ma ono czterdzieści kilka tysięcy mieszkańców, w tem dużo Hiszpanów i rozwój swój zawdzięcza głównie uprawie roli.

Dawniej stała tu tylko kubba, czyli kapliczka mużmańskiego ascety tej samej nazwy. Obok niej w 1843 r. Francuzi wzniesli redutę, żeby okoliczne plemiona wiedziały jako słuchać.

Kiedy w dwa lata potem garnizon wyszedł w pole, Arabowie „Oulad Ibrahim“ (czyli „Dzieci Ibrahima“), pod pretekstem pielgrzymki do kubby, napadli na ten fort francuski, ale pozostali w reducie żołnierze, chorzy i rekonwalescenci, takie im sprawili cięgi, że Dzieci Ibrahima długo potem jeszcze musiały sobie plecy smarować.

Odtąd zapanował w tych stronach spokój, a reduta stała się miastem, w którym zgodnie ze sobą mieszka-

ją Arabowie i Europejczycy, drugi pułk spahisów i pierwszy legii cudzoziemskiej, gdzie służy dużo Niemców pod rozkazami Francji.

Sidi-bel-Abbès znajduje się dosyć daleko od stacji kolejowej, ma porządne, szerokie ulice, szablonowe domy, sklepy, dosyć ładny pomnik żołnierzy poległych na wojnie światowej, dużo ogródków i park miejski. Orientalnego w niem jest niewiele: jakś meczet na przedmieściu Bugeaud z cienkim minaretem azjatyckiego typu. Żydzi mają synagogę i ulicę Jerozolimską.

Kościółek katolicki, który posiada śpiczastą wieżę i napis: „Divo Levite Vincentio“, jest niewielki i niebardzo ładny. Dedykacja odnosi się zapewne do św. Wincentego z Oski, rodaka i patrona Hiszpanów miejscowych.

Trochę mnie obchodził legion cudzoziemski, ponieważ dowiedziałem się, że służy w nim w samym Sidi-bel-Abbès około trzydziestu Polaków. Prosiłem oficerów,

żeby mi pozwolili z nimi porozmawiać. Odpowiedziano bardzo grzecznie, że muszę wskazać nazwiska żołnierzy, z którymi chciałbym się zobaczyć. Wywołać wszystkich Polaków regulamin pułkowy nie pozwala.

Legion nie uznaje w swoim składzie żadnej narodowości, są w nim tylko ochotnicy, którzy podpisali kontrakt na pięć lat służby. Do tej ceremonii niepotrzebna jest ani metryka, ani paszport, ani inny jakikolwiek dokument.

Dopełnieniem są tylko oględziny lekarskie.

Legion się rozrasta. Przed wojną miał dwa pułki, co prawda ogromne, bo liczące po sześć tysięcy ludzi. Dziś są cztery piesze i jeden konny. Stoją one przeważnie w Marokku i wogóle tam, gdzie najniebezpieczniej.

Ponieważ znajdują się w nich poszukiwacze przygód, tacy, którym życie zbrzydło, oraz różnego typu zawadzaki, więc podczas wojny biją się z ogromną brawurą.

Legia nie dała Niemcom wziąć Orleanu w 1870 r., chociaż podług prawa nie wolno było jej przenosić do Europy. Komenderował nią wtedy Lipowski, Polak, wychowaniec szkoły Batignollskiej.

Podczas wielkiej wojny legioniści pilnowali Marokka, którego los, jak mówiono wtedy, miał być rozegrany w Lotaryngji przez innych partnerów. Niemcy, którzy najwięcej służy w legji, spełnili swoje zadanie żołnierskie wobec niej. Francja odebrała z powrotem tę część Konga, którą była zmuszona odstąpić Wilhelmowi II w Algeciras. Dziwnie się rzeczy ze sobą splatają na tym świecie!

Przyszło w 1925 r. powstanie Rifinów, kierowane przez Abd-el-Krima, bardzo zaraźliwe nawet dla spo-



Algier — Meherza.

kojnych departamentów Algeru. Wszystko jednak skończyło się szczęśliwie.

Ale Marokkańczykom nie można ufać. Dlatego całe trzy pułki cudzoziemskie, drugi, trzeci i czwarty stoją do dziś w Meknes, Fezie, Marrakech i Bou-Denib. Widocznie najwięcej Francja na nie liczy.

Po upalnym dniu, wieczorem zrobiło się zimno. Poszedłem za miasto. Na niebie błyszczał półksiężyc, zwrócony rogami do góry, jak na minaretach muzułmańskich, czego się u nas w Polsce nie spotyka. W trawach cykały koniki polne.

Fellahowie, owinięci w burnusy, wracali wózkami z targu do swoich wiejskich sadyb. Oficerowie spahisów w czerwonych mundurach szli w kierunku stacji kolejowej, żeby widokiem pociągu zabić na chwilę nudy życia garnizonowego. Towarzyszył im poważny, biały Arab, w postawie pełnej szacunku i rozmawiał ze spahisami po francusku. „Powrę dzien“ (pauvre indigène), doszły do mnie jego słowa, którymi może polecał swojego syna, służącego w pułku.

Prawie się już skończył sezon deszczowy w tych stronach, więc zboża i łąki nie wydawały zapachu świeżej, rozkosznej zieleni, co stanowi urok naszych pól o tej porze.

TLEMCEŃ.

Tlemcen jest to jedyne miasto w całej Algerji, które posiada stare budowle z epoki arabsko-berberskiej, mające prawdziwą wartość artystyczną i mogące być porównywane z tem, co po Arabach zostało w Hiszpanji. Dlatego popularnie nazywa się Grenadą afrykańską.

Jego nazwa pochodzi od berberskiego wyrazu tilmisan — źródło. Mieszkańcy Tlemcen przedstawiają kilka typów, które zachowały swoją oryginalność bardziej niż w innych miastach tutejszych.

Są między nimi kuluglisi, pochodzący od Turków i kobiet krajowych, arabo-berberowie, murzyni, potomkowie niewolników i hadary czyli Maurowie o twarzy białej (hadari zresztą, po arabsku oznacza wogóle człowieka osiadłego w przeciwieństwie od bedaui — beduina koczownika).

Rzeczą jest charakterystyczną, iż podczas zdobywania przez Francuzów Algeru, Maurowie w tem mieście opowiedzieli się za Abd-el-Kaderem, kuluglisi zaś razem z Turkami — za Francją i w 1836 r. walczyli z tamtymi pod wodzą Mustafy Ben Ismaela, zamknięci w Meszuarze tlemceńskim.

Ten Meszuar jest to cytadela miejska, pochodząca z VI wieku. Dziś znajdują się w nim różne urzędy wojskowe i szpital. Dawny jego meczet zamieniony został na kaplicę. Obok sterczą archaiczne baszty, należące do średniowiecznego muru miasta.

Przez rue de France dochodzi się do dzama El Kebir (wielkiego meczetu) z XII w. Nie jest on tak ogromny jak katedra w Kordobie, ani nie przypomina zbytnio Alhambry, ale minaret ma podobny do Giraldy sewilskiej.

Na minaret usiłowałem wejść przedewszystkiem, żeby zgóry zobaczyć miasto i okolice. Nie robiono mi najmniejszych trudności, tylko za mną podreptał jakiś Arab, uśmiechający się bardzo przyjemnie.

Na wierzchołku zastałem dwie nieżywe jaskółki, które się musiały uderzyć o górną kondygnację i zabić w locie. Obok spacerował bocian z miną muezzina, nie zwracając na mnie żadnej uwagi. Oczywiście nie mogłem mu dać bakszysza pod postacią żaby. Dowiedziałem się, że stale przebywa na minarecie.

Widok stamtąd jest nadzwyczajny. Samo miasto ma w sobie dużo piękności, a za niem ciągną się wąwozy i góry, lasem porośłe.

Ponieważ było mi potrzebne napisanie pewnego wyrazu arabskiego, a nie byłem pewny jego ortografji, więc prosiłem towarzyszącego mi Araba, żeby mi go skreślił na papierze. A ten odpowiedział, ku mojemu zdziwieniu, że umie pisać tylko po francusku. Oto jak kulturze Francji ulega nawet personel meczetu!

Główna sala modlitewna na dole jest raczej wielka, aniżeli estetyczna, tak samo jak jej miedziany żyrandol. Tylko mihrab, wskazujący drogę do Mekki, ma ładną ornamentację i przypomina ten, który został

po Maurach w katedrze Kordoby. Pod meczetem ma spoczywać sułtan Jagmoracen, twórca minaretu

Był piątek, a więc święto mahometańskie, czas przedpołudniowy, a w meczecie zauważyłem zaledwie siedem modlących się osób. Niedaleko od dzama El-Kebir jest interesujące targowisko, zawalone zieleniną i owocami. Tam się dopiero roiło od „wiernych“, siedzących na ziemi z podwinętymi nogami po turecku, albo przy stolikach na sposób europejski i pijących coś



Arabskie targowisko.

żółtego z kieliszków.

Co oni mogą pić? zastanawiałem się nad tem, przecież nie wino, zabronione przez Mahometa.

— Piją, piją wino! — odpowiedział mi jeden z tamtejszych Francuzów.

— Zresztą, co będą pili, słoną wodę z sebkhy? kiedy mają za bezcen vin blanc, rouge i rosé w każdym sklepiku! Sam Mahomet by się skusił!

Zwiedziłem jeszcze stary meczet Sidi bel Hassen z XIII wieku, dziś już zamieniony na muzeum. Na jego minarecie również było gniazdo bocianie. Takie gniazda składają się z kawałków drzewa, powiązanych trawą i włóknami palmowemi.

Ptaki te otoczone są wciąż przez Arabów, zwłaszcza w sąsiednim Marokku, odległym tylko dwie godziny drogi koleją. Tam dla nich budowane są nawet szpitale i kliniki, gdzie leczą się bociany okaleczone, ranne, lub z gniazd wypadłe.

Sidi bel Hassen palił się w XIX w., przyczem najbardziej ucierpiał jego cedrowy plafon. Ładny mihrab ma filarki z onyksu. Muzeum meczetu zawiera zbiory archeologiczne: mozaiki fajansowe, stele cmentarne, ceramikę, napisy arabskie i rzymskie, starą armatkę-kolubrynę, wreszcie kapitele połamianych kolumn, które są porozrzucane i na dziedzińcu (C. d. n.)

Ks. T. R.

DON JOSE ST. NOARO.

SFAŁSZOWANA NOTA

Nowela z cyklu „Gołębica i jastrzębie“.

PAPIER I TREŚĆ.

Redaktor naczelny „Gazette du Suisse“ uderzył pięścią w stół.

— Pan się pyta, panie sekretarzu, czy mamy puścić polską notę w tym tekście?

— Tak właśnie.

— Jakto tak!

— To jest — nie! — wyjął zalekniiony sekretarz.

— No więc po co pan pyta? — huknął redaktor.

— Tak właśnie, ale...

— Jakie, ale?

— Ale nie możemy przecież jej nie puścić.

— A któż panu powiedział, że nie.

— Miałem wrażenie, że jednak pan redaktor mówił..

— Pan powinien być poeta, i opiewać swe wrażenia. Dziennikarz opiera się na pewnych faktach, a nie na wrażeniach.

— Tekst tej depechy jest faktem — i sekretarz redakcji nieomal rozpaczliwym gestem potrząsnął świeżym napisanym kartek.

— To jest tylko papier. A nie każdy zadrukowany papier jest dokumentem. Farba drukarska nie czyni treści.

— Właśnie treść — treść, panie redaktorze.

— Mam wrażenie, że to nie jest treść właściwa.

— Ja miałem to samo wrażenie.

— Już mówiłem, że panu nie wolno mieć wrażeni — zachnął się redaktor.

— Przepraszam bardzo — jęczał sterroryzowany sekretarz.

— Pan powinien przyjść do mnie i powiedzieć: Panie redaktorze, ta nota jest sfałszowana. Nie możemy jej umieścić w tym tekście, jednak musimy ją umieścić, aby dostarczyć czytelnikom aktualnej wiadomości. Proponuję więc — coby pan zaproponował, panie sekretarzu.

— Zaproponowałbym, zaproponowałbym... Mam wrażenie...

— Znów wrażenie! Więc ja dokończę za pana. Umieści pan notę skreślając wątpliwy tekst o tem, że „Polska gotowa jest dla zachowania pokoju na daleko idące ustępstwa względem swego zachodniego sąsiada“. To jest fałsz.

— Tak, panie redaktorze, ale to jest tu napisane czarne na białem.

— Pan jest niepoprawny.

— Nie, ja usiłuję się tylko trzymać faktów.

— Panie, pan nie masz żadnej wyobraźni, z pana nie będzie nigdy porządny dziennikarz.

— Doprawdy, ale to zawiele. Raz zarzuca mi się brak wyobraźni, a drugi raz jej nadmiar. Raz każe trzymać się faktów, a drugi raz to potępia. Jestem jak kołowaty, jak goły as — uśmiechnął się boleśnie.

— Zaraz, zaraz — uspakajał redaktor. Tylko nie zemdlej pan, nie pora na to. Pan powinien się urodzić kobietą i sprzedawać fioletki na ulicy.

— Panie redaktorze! — oburzył się sekretarz.

— Nie tak gorąco. Musimy już pogodzić się z tem, że jednak jest pan mężczyzną. Uszy do góry. Zadam panu jedno pytanie.

— Proszę! — panie redaktorze. — Co mam robić.

— Wiadomo, że pan jest człowiekiem jak kryształ uczciwym.

— Zbytek uznania, panie redaktorze.

— Poczekaj pan, jeszcze nie skończyłem, a jednak w portfelu pana znajduje się fałszywy banknot.

— Co znowu? To insynuacja.

— Nie, to tylko wyobraźnia — uśmiechnął się redaktor. A teraz apeluję do pańskiej wyobraźni i pytam się — jak pan to wytłumaczy?

— Ależ ja nie mam takiego banknotu, ja nie mogę go mieć, nie jestem fałszerzem.

— Zgodzi się pan jednak, że są fałszerze na świecie.

— Owszem są.

— I że panu mógł ktoś podsunać fałszywy banknot.

— Mógł mi podsunać.

— No nareszcie — odetchnął redaktor z ulgą. — Zrozumiał pan teraz, co się stało z notą polską.

— Niby tak.

— Została sfałszowana. Podsunięto w nią słowa, które tam nigdy nie mogłyby się znaleźć, gdyby naprawdę napisał ją w całości p. minister Zaleski.

— A któż pisze polskie noty? Taby warto zbadać.

— Nareszcie powiedział pan coś rozsądnego. Warto by to rzeczywiście zbadać.

— Ale jak i kto to zrobi?

— Zastanowimy się. Przedewszystkiem odniesie się pan do poselstwa polskiego, poinformuje o naszych podejrzeniach i zapyta o prawdziwy tekst.

— Już idę.

Redaktor zagłębił się w fotel, rozmyślając nad całą sprawą. Nieraz już w swej praktyce spotykał się z różnymi próbami wykorzystywania prasy dla propagandy, wątpliwych interesów politycznych. Lecz to, co się stało z notą, było naprawdę nowym i zręcznym kawałem.

— Kto to mógł zrobić? — pytał się w duchu.

— Panie redaktorze. Nie mogę się zupełnie dozwonić do polskiego poselstwa.

— O tej porze powinien tam ktoś być. Widocznie przecięto komunikację, aby utrudnić dotarcie do prawdziwego źródła informacji. Oho — intryga jest pomyślana szeroko i gruntownie. Ale już my przeszkadzimy temu. Nada pan iskrowki do zaprzyjaźnionych z nami redakcyj o naszych wątpliwościach, co do autentyczności noty. Podobną iskrowkę pchnie pan do agencji Pallas. Musimy utracić tę tajemniczą intrygę.

— A teraz połącz mnie pan z p. Dzemsem Holivay.

— Na cóż tu detektyw?

— Zrobi nam wywiad w tej sprawie.

— Czy pan redaktor ma zamiar bronić interesów Polski?

— Może. Chcę przede wszystkim jednak dać moim czytelnikom porządną sensację.

— Aha! Ale i ta sfałszowana nota jest już sensacją.

— Większą sensacją od kłamstwa jest prawda, tylko trzeba umieć ją powabnie przedstawić ludziom. Hallo, czy to p. Dżems Hollivay? — Jakże się cieszę? — mówił redaktor. — potrzebujemy tu pana pomocy. Wielce interesujący wypadek. Co, jest pan bardzo zajęty? Mam nadzieję jednak, że dla dobra Ligi Narodów znajdzie parę godzin czasu! Że nigdy nie wiadomo, kiedy się taka rzecz może skończyć, dokąd zaprowadzić! Zapewne! Jedno jest tylko wiadome, drogi panie, że zaprowadzi to pana do pięcioletniego honorarium. Pan się zastanowi — znaczy zgoda i bierz się pan do roboty. Redaktor w paru słowach nakreślił sytuację, po drugiej stronie telefonu słychać było tylko przeciągłe:

— Hm, hm.

Rozmowa była skończona.

— Panie sekretarzu! Jutro zasypujemy Genewę sensacją. Wydanie dziennika o piątej rano przyniesie naczelnym artykuł p. t. „Sfałszowana nota“. Podamy tu fotografię z oryginału fałszywego komunikatu i nasze zastrzeżenie oraz informację, że podjęliśmy kroki co do wyświetlenia prawdy, o czym poinformujemy czytelników w wydaniu południowym, i wieczornem. Rzecz, że zarobimy na tem 10.000 jednego dnia, nie licząc dalszych sensacyj w miarę postępu wywiadu Hollivay'a.

Sekretarz kornie schylił głowę przed swym genialnym szefem.

D A M A Z B R O S Z K A.

Hollivay odłożył słuchawkę i zaczął się zastanawiać nad powierzoną mu misją. Wywiad w sprawach politycznych nie był dlań nowością. On przecież był owym tajemniczym jegomościem, który był obecny w Brześciu, w czasie podpisywania tajnej klauzuli, czemu dano wkrótce rozgłos. On miał do czynienia w słynnej aferze Hoyos'a, rzucającej światło na wybuch wojny i wpływ Wilhelmstrasse na zamach w Sarajewie.

Kwestja sfałszowanej noty polskiej, wiązała się poniekąd z jego dotychczasową działalnością i znajomością tajemnic polityki wschodnio-europejskiej, a zwłaszcza roli Niemiec na tej arenie. Chętnie więc przyjął powierzone sobie zadanie, choć trochę nie na rękę mu było polecenie rozpoczęcia natychmiastowej akcji. Przed jakimś kwadranssem otrzymał bowiem wezwanie do rozpoczęcia poszukiwań w sprawie zaginionej broszki. I miał się jak najspieszniej stawić do hr. Amalvi. Nagroda opiewała na 5 procent wartości broszki, którą hrabina oceniała na 150.000 franków.

Doprawdy więc było w czem wybierać.

— Ostatecznie nie stanie się nic — zdecydował — jeśli, najpierw odwiedzę hrabinę. Do 4-ej rano mam czas coś nie coś zrobić dla redakcji „Gazette du Suisse“.

Gwizdnął zadowolony, jak zawsze, gdy go czekała interesująca robota.

Przed bramą czekało go auto, które pomknęło za miasto. Trochę to tajemnicze, ale tajemnica, to mój chleb, — pomyślał.

W dziesięć minut dzwonił już do bramy eleganckiej willi.

— Jestem Dżems Hollivay.

Elegancki lokaj, milcząc, poprowadził go do gustownie urządzonego salonu. Dżems rozsiadł się wygodnie w fotelu, zdecydowany na dłuższe czekanie.

Po chwili jednak uchyliła się kotara i do pokoju weszła mała osóbką w wykwintnej, wieczorowej toalecie.

— Witam pana, mistrzu. Ogromnie się cieszę — mówiła z zalotnym uśmiechem — że pan tak szybko pośpieszył, by ratować biedną, strapioną istotę.

— Oh, doprawdy, niema za co — odparł Hollivay, pochylając się czołobitnie, a w duszy stwierdził, że jego klientka nie wygląda znów na tak bardzo strapioną, stratą krociowej broszki, natomiast uciecha jej jest niewątpliwa, jak to n. p. bywa przy splątaniu dobrego figla. Gdzie on już widział ten uśmiech? — przemknęło mu przez głowę niepokojące pytanie. Postanowił być ostrożnym i mieć na oku przede wszystkim nową swą znajomą.

— Mam nadzieję, że panią zbytnio nie martwi strata broszki? — odparł, kładąc akcent na słowo strata. Piękna pani spojrzała nań bystro i z czarującym uśmiechem, którym zdawała się mówić, pocóż ta chytra dyplomacja, odpowiedziała.

— Przykro mi, ale pocieszam się, że, dzięki panu, łatwo ją odzyskam. Niedarmo cieszy się pan ustaloną sławą najzręczniejszego detektywa i dlatego witam pana z taką radością.

— Och, dużo jest w tem przesady, co o mnie ludzie mówią — odparł. — Ale wytrawny gracz z tej damy — myślał. Jeśli w następnej minucie nie przypomnę sobie, gdzie ją już raz widziałem, to każę sobie zmienić głowę w klinice lalek! — myślał Dżems. Muszę rozstrzygnąć tę wątpliwość.

— Przepraszam, wydaje mi się, że już miałem zaszczyt gdzieś widzieć panią hrabinę.

— Och jest to zupełnie możliwe. Byłam ostatnio na balu ambasadorów.

— Ach tak! — widzę — myślał — trudno ją zmieszać. Ale to jest trochę dziwne, że ma na wszystko tak dokładną odpowiedź. To chyba było wcześniej — rzekł.

— Nie przeczę. Prowadzę życie towarzyskie, ostatecznie nie jest trudno być widzianą, gdy się jest wciąż na ludzkich oczach.

Skłonił się tylko.

— Jeśli pani hrabina pozwoli zapytam się teraz o kilka wyjaśnień, co do broszki. Jak ona wyglądała?

— Było to istne cacko paryskich jubilerów. 120 brylantów, w środku wspaniały szmaragd. Przepiękny rysunek — przypominający niektóre arcydzieła weneckie.

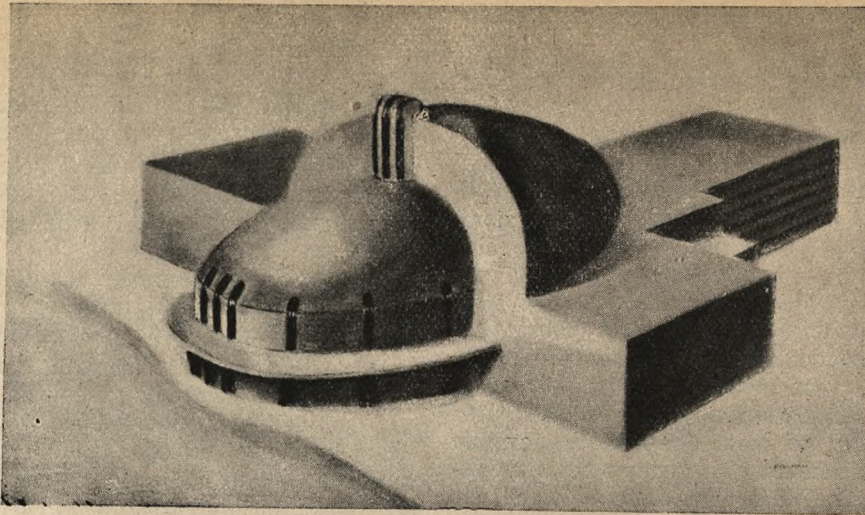
— Przypuszcza pani, że ją skradziono?

— Raczej zgubiłam ją. Wzięłam ją bowiem do teatru. Po powrocie zauważyłam brak jej na sukni. Ot jeszcze widać ślad jej wpięcia. Może pan życzy zobaczyć.

— Ależ wierzę, pani hrabino, wierze.

— Nie o to chodzi — zniecierpliwiała się trochę dama, jakby poczynając się orjentować, że jej słowa budzą wątpliwość — lecz każdy ślad ma tu swe znaczenie.

(Dalszy ciąg na str. 15).



Plan perspektywiczny.

NOWOCZESNY GMACH TEATRU

Plany budowy gmachów teatralnych wykazują od dawniejszych czasów bardzo małe zmiany. Dzisiejszy budynek teatru jest niczym innym, jak tylko dawnym amfiteatrem greckim, lub rzymskim, który tylko pokryto dachem. Architekci, wychodząc z tego założenia poświęcali dotychczas uwagę w takich budynkach samej widowni, klatkom schodowym, westibulum, foyers itd., znacznie mniej natomiast zajmując się kulisami a nawet samą sceną.

Tymczasem technika i jej postępy znajdują coraz większe zastosowanie w teatrach, a dopasowanie tych zdobyczy do budynków wznoszonych według dawnych systemów stało się coraz trudniejsze. Wreszcie doszło do tego, że najsłabsze udoskonalenia w dziedzinie teatralnej poczęły niemal rozsądzać te dawniejsze gmachy, powodując konieczność wielkich i kosztownych przebudówek i dobudówek — co mimo wszystko nie usunęło wylaniających się braków, nie zanabięła licznym niedomaganiom i ciasnocie.

Wobec tego w kręgach architektów poczęły kiełkować nowe pomysły w budowie teatrów, któreby odnawiały wszystkim dzisiejszym i przyszłym potrzebom. Sprawa ta jest jeszcze w dziedzinie planów teoretycznych, dotychczas bowiem nie ustalono typu nowoczesnego budynku teatralnego. Nie mniej nawiązujące się projekty są często bardzo ciekawe, a w każdym razie pozwalają się zorientować w nowych dążnościach reformy gmachów teatralnych.

Dla zilustrowania tych poczynań podajemy plan teatru, opracowany przez architekta Emila Pirchana. Plan ten wywołał wielkie zainteresowanie w kręgach fachowych zagranicą, oraz szeroką dyskusję co do dodatnich i ujemnych stron jego.

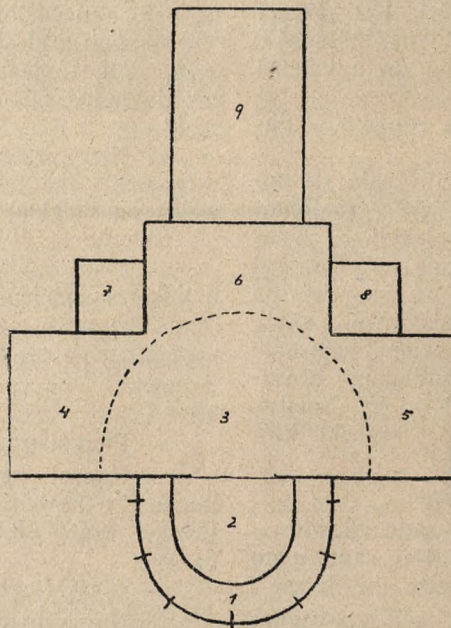
Już pierwszy rzut oka wskazuje, że główną osią budowli jest kopuła, wznosząca się ponad sceną. O kopułę tę opiera się druga mniejsza, umieszczona ponad widownią. Dookoła nich grupują się inne części gmachu, a więc kulisy boczne i tylne,

pomieszczenia sal, przeznaczonych na próby, zarząd, pracownie, następnie klatki schodowe, westibule, i t. d. Charakterystyczną rzeczą jest brak większych składów na dekoracje. Spowodowane jest to tem, że w przyszłym teatrze, dekoracje dla kilku nawet sztuk, będą mogły łatwo zmieścić się w małym pudełku od cygar, które można będzie bez trudu włożyć do kieszeni palta. Rzecz na pozór nie do wiary, a jednak prawdziwa, jeśli zważymy, że zamiast dotychczasowych dekoracji, używane będą dekoracje świetlne. Potrzebne do nich będą tylko czyste płótna, na które będą rzucać odpowiednie obrazy lampy magiczne. Dla każdej więc ściany wystarczy małe szkło diapozytywu, a zbiór tych szkielek, będzie właśnie całym zbiorem dekoracji.

Nowy plan gmachu przewiduje również kopję dla aparatu kinematograficznego, który zdobywa coraz większe zastosowanie pomocnicze w nowoczesnym teatrze.

Bardzo obszerne kulisy boczne i tylne umożliwią właśnie stosowanie dekoracji świetlnych, oraz szeregu innych świetlnych efektów, które również poczynają grać olbrzymią rolę w nowoczesnym teatrze.

Ponieważ przedstawienia odbywają się zawsze przy świetle sztucznym, gmach prawie że nie posiada okien. Otwory na zewnątrz przewidziane są tylko dla celów wentylacyjnych, oraz przy korytarzach, otaczających widownię. Oczywiście plan nie pokazuje nam jeszcze



1. Wejścia, westibule, klatki schodowe, garderoby. 2. Sala dla widzów. 3. Scena. 4, 5, 6 kulisy boczne i tylne, 7 garderoby, pokoje dla prób, 8 rekwizytornie i garderoby artystów, 9. Magazyny dyrekcja warsztaty.

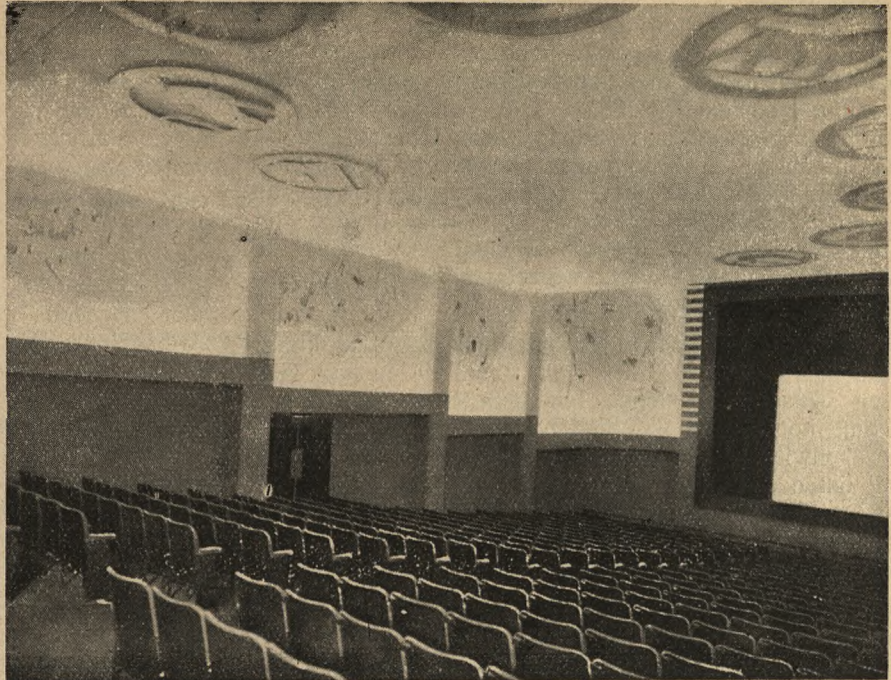
części podziemnych teatru, które są bardzo wielkie, tak pod samą sceną, jak i pod pomieszczeniami administracyjnymi. Pod sceną mają mieścić się kilkupiętrowe „zapadnie“, reszta zaś przeznaczona jest dla pracowni, maszynierji rekwizytorni, drukarni i t. p. Oczywiście pod scenami, kulisami bocznymi i tylnymi przewidziano i pomieszczenia dla dekoracyj o ile będzie potrzebne, a które łatwo i szybko mogą być wyciągane przy pomocy odpowiednich wind elektrycznych.

Całość wykazuje, że ubikacje budynku, przeznaczone dla publiczności, są tylko nieznaczną częścią całego gmachu. Największy nacisk położono w nim na scenę i jej części poboczne i oddziały techniczne. I to jest może stroną ujemną tego planu. Autor jego wpadł bowiem z jednej krańcowości w drugą. O ile po przednio kładziono nacisk na części przeznaczone dla widzów, tak w tym planie części te potraktowano po macoszemu. Z planu bowiem wyraźnie widać, że przestrzeń przeznaczona na poczekalnie, garderoby, foyers, i tu, jest zbyt szczupła, a zarazem z pewnością i zbyt skromna, jak na gmach reprezentacyjny. Uzu-

pełnienie tych braków dałoby zapewne pożądany i poszukiwany typ gmachu nowoczesnego teatru.

Ponieważ w Polsce znaczna

część budynków teatralnych jest przestarzała, i aktualną staje się budowa nowych, poruszenie tego tematu jest i u nas bardzo na czasie



Wnętrze jednego z kin paryskich, proj. inż. Adrjanny Górskiej, polskiej architektki. Na suficie znaki zodiacu, na ścianach mapy pięciu kontynentów.

(Dalszy ciąg noweli „Sfałszowana nota“).

— Oczywiście, oczywiście! — wycofywał się Dżems, nie chcąc zbyt drażnić hrabiny, aby ją potem łatwiej zaskoczyć.

— Proszę, niech pan spojrzy. To był wspaniały klejnot, dość ciężki, by mieć skłonność do wypadnięcia — mówiła hrabina Amalvi żartobliwie i powabnym ruchem podnosiła rękę ku włosom, jakby chcąc je poprawić. Na przodzie białej sukni rzeczywiście znać było dwa ślady nakłucia. Bystre oko detektywa dostrzegło jednak coś więcej: maleńki purpurowy punkcik, jakby kroplę krwi.

— Więc jest pani zdania, że stało się to poza domem?

— Tak myślę.

— Czy pozwoli pani na przeszukanie mieszkania?

— Jeśli na tem panu zależy, to proszę, uważam to jednak za bezcelowe.

— Pragnę uczciwie zapracować na me honorarium — odparł Dżems z szerokim, jowialnym uśmiechem.

— A propos, może pan pozwoli do gabinetu. — Hr. Amalvi ruszyła w kierunku drzwi. Za nią Dżems.

To, co nazywała gabinetem — było raczej zacisznym buduaem, urządzone w stylu wschodnim z całą masą poduszek, które niby kwieciste oazy, tonęły w puszystym oceanie dywanu.

Z boku stał stolik, zastawiony nalewkami, kieliszkami, spodeczkami pełnymi ciastek, konfitur, zakąsek.

— Proszę, niech pan spocznie.

Podeszła do ściany i ze skrytki, zasłoniętej obrazem, coś wydobyła.

— Oto skromny zadatek — podawała mu różową nową kopertę, w której szeleściły banknoty.

— Ależ pani hrabino. Jeszcze nic nie zrobiłem — odparł Dżems, ujęty jej gestem.

— Przeciwnie, traci już pan dla mnie swój cenny czas, może czeka pana jaka pilna misja? — zapytała.

— Tak właśnie, wyrwało się odruchowo Dżem-sowi.

— Otóż to! — ja tu pana zatrzymuję kobiecemi żalami, a tymczasem oczekują go gdzieindziej. Mam nadzieję, że niezbyt daleko stąd.

— Rzeczywiście niedaleko!

— Chyba nie w dzielnicy ambasadorów?

— Skąd to przypuszczenie? — rzucił pytanie Dżems, który nagle zorientował się, że hrabina zreżnie usiłuje go wybadać.

— Tak się domyślam. Bo komuż w Genewie mogłoby zależeć na usługach wielkiego Dżemsa Hollivaja? — Zresztą co interesuje dzielnice ambasadorów, interesuje także mnie. Jeśli się przyjechało do Mekki, to nie należy zapominać o Kaabie....

Oho, widać trafiłam — pomyślała hrabina. — Jednak miałam dobre przeczucie ściągając go tu. Już ja go stąd prędko nie wypuszczę.

(C. d. n.)

WIZJA STALINA

Kreml pogrążony był w tajemniczej ciszy nocy. Stalina, którego zdrowie się pogorszyło, oraz nie mógł znaleźć wypoczynku i zapomnienia w kojącym śnie, drażniła i niepokoiła ta cisza. Myślał: Czy spała też tam poza warownym Kremlm wielka Rosja, drgająca od piętnastu lat w kurczach rewolucji? Odruchowo usiadł w łóżku, lecz w tej chwili znowu ciężko opadł na poduszki. Ach! te okropne wspomnienia! Moc wulkanu raczej był w stanie powstrzymać, lecz ich nie. Jego wszechmoc nie mogła zniweczyć ich pustoszącego działania.

Myśl jego uleciała hen na Kaukaz, gdzie nigdy żył młody człowiek, który nie wspinał się po jego pięknych, lśniących w słońcu, białych szczytach, lecz podziemne kopał drogi. Wtem nadeszła dlań owa szczęśliwa chwila, rok 1903, kiedy to poraz pierwszy otrzymał list od... Lenina. Tak, teraz jest rok 1931; wówczas znalazł on „wiarę“ i wierze tej pozostał wierny w ciągu tylu lat, a obecnie? Nie jest to już ta sama wiara! Miała ona bowiem wówczas inny wygląd.

Myśl jego śpieszy do Lenina. Jest wszakże tak blisko niego. Tu zaraz za wysokim murem, leży w swem wspianiem mauzoleum, lecz... jest martwy.

Trocki, dumny, lecz godny szacunku przeciwnik, pędził żywot samotny w Turcji, borykając się ze swemi atakami serca i wrzodami żołądkowymi. Kamieniew, Zinowiew, schwytni sami w swe zdradzieckie sidła, nie należeli więcej do czynnych polityków, a ich nazwiska należą już do historii rewolucji. Rykow, Tomskij, Bucharin, Biełoborodow i cały zastęp innych wloką marny swój żywot w różnych miejscach wygnania, rozrzuconych na przestrzeni od Turkestanu aż po strefy polarne — wszystko to starzy grenadjerzy wielkiej przeszłości.

Noc i cisza ciążyły mu jak ołów, czoło pokryły gęsto krople potu, nie mógł więcej w ciemności pozostać, zaświecił lampę, wziął książkę do ręki — i czytał: „Wzniesiliśmy dyktaturę proletariatu i zburzyliśmy fundamenty dla postępu socjalizmu. Czy możemy też własnymi siłami stworzyć nową podstawę gospodarczą, niezbędną dla budowy socjalizmu“? Stalin drgnął. Czy możemy? Kto to powiedział? Wszak były to jego własne słowa. Czytał swoje przemówienie do Komitetu Wykonawczego, Komitetu z grudnia 1926 roku. „Czy możemy“? Czy okaże się piramida budowy dyktatury trwałą podstawą... bez Stalina? A może się jednak lekarze omylili? Co mogłoby się stać okrętowi, którego ster on, Stalin, tak długo prowadził? Męczył się w myślach i zapadł w półsen.

Nagle znalazł się na skrzyżowaniu dróg. Co też stało się z jego rewolucją? Którą z pośród tych dróg poszła ona?

Spojrzał na wschód. Z ciemności wyłoniła się dziwna postać męska, ze spojrzeniem, które przenikało do szpiku kości, dumna, lecz uprzejma, która go w przyjazny sposób pozdrowiła. Czy widział pan moją rewolucję? zapytał Stalin. Czuję się dobrze i zmierzam ku celowi, odrzekł obcy. Budowałeś na dobrej podstawie, kiedy zaprowadzałeś socjalizm w swoim kraju. Nagrodę już masz. Rewolucja twoja dotarła aż do

Arabji, Koreii, Chm Zbudowałeś najdoskonalsze państwo, w którym sprawiedliwość wymierza się nahajem, a równość zaprowadza się przy pomocy walca drogowego. Ja, podobnie jak ty, niegdyś pracowałem w najtrudniejszych warunkach nad urzeczywistnieniem mojej idei.

Sprowadziłem z Bizancjum Aleksandryjską Bibliotekę, największy arsenał ludzkiej wiedzy; studjowałem Platona i Arystotelesa, Herodota i prawo mojżeszowe, a także dzieje republiki rzymskiej i przyszedłem do przekonania, że jedynymi mądrymi rządami są rządy nad narodem, nie zaś narodu. Pokonałem bojarów, stworzyłem nowy system nauczania, objąłem całkowicie w swe ręce opodatkowanie, wytypiłem wszelką sekciarską samodzielność. Wielkie zawojowałem królestwa tatarskie na Kazaniu i Krymie, zdobyłem Syberję, czyniąc z Rosji potężne państwo od morza Czarnego po Mongolię, państwo, które sięga teraz po kolonie, zachowane dla nas przez brytyjskiego lwa. Ty spełniasz postannictwo grozy wobec chytrych skapców. Twoja dyktatura jest zdobyczą! Chorągiew Unji Sowieckiej powiewa nad Azją, kolebką ludzkości. Co do zachodu, to niema on duszy i nie zrozumiem nas nigdy.

Stalin zadrżał. Kim był ów obcy? Wszak była mu jego twarz znajoma. Przypomina sobie. Widział ją w wielkiej sali kremłowej. Tak — to był Iwan Groźny!...

W trwodze odwraca się na zachód. Tam stoi potężna, muskularna postać Dantona. Chcesz wiedzieć, dokąd poszła twoja rewolucja, pyta Stalina. Przypomnij sobie moją ostatnią rozmowę z Robespierrem, kiedy mnie zapytywał, czy nie moglibyśmy się pogodzić. Czy nie musi władza w największem niebezpieczeństwie stać się okrutną, zapytywał Robespierre. Tak, ale ona niema prawa nigdy wyzywać się wszelkiego miłosierdzia, odpowiadał Danton. — Szli na szafot, aczkolwiek osądzeni, lecz niewinni. Robespierre zgubił rewolucję. Zapłacił on za to swoją głową, lecz była ona zbyt małą ceną. Nie nauczyłeś się niczego ślepy synu Azji, który jesteś gorszym od Robespiera. Skazujesz ludzi na śmierć bez sądu, każąc im strzelać z tyłu w głowę. Nie pomoże ci nic. Twoja rewolucja jest już w rękach „białego“ Napoleona!

Stalin ucieka w kierunku południowym. Tu znów Marks. „Mistrzu, mówi Stalin, żyłem wedle twoich nauk. Gdzie jest moja rewolucja“? „Znasz na pamięć każde z moich pism, lecz nie rozumiesz żadnego, odpowiada z pogardą Marks. Chciałem dyktatury proletariatu, lecz nie dyktatury nad proletariatem. Dażyłem do panowania robotników, nie zaś do panowania zawodowych polityków nad robotnikami. Chciałem zniszczyć prywatną własność dla szczęścia ludzkości, a ty zniszczyłeś kapitał, by go skoncentrować w rękach terrorystycznego państwa. Robotnicy twoi są niewolnikami. To, co ty stworzyłeś, nie jest socjalizmem, a azjatyckiem okrucieństwem. Widzę inną rewolucję, widzę, jak lud zrzuca z rąk kajdany“.

„Jesteś renegatem“, krzyknął Stalin i odwrócił się ku północy. Tu widzi Lenina. „Towarzyszu Leninie! gdzie jest twoja rewolucja? „Ona nie jest więcej moja, lecz twoją, mówi Lenin. Przypominasz sobie, co w cza-



H U M O R



Bądźmy dobrzy.

Po drodze wznoszącej się w górę, piaszczystej, trudnej i ze wszystkich stron wystawionej na słońce dzielny koń ciągnął karetkę.

Woźnica kroczył obok powozu od czasu do czasu otwierał i zamykał z hałasem drzwiczki.

— Po co to? — zapytał jeden podróżny.

— To dla konia — odrzekł woźnica.

— Dla konia?

— Tak, on myśli, że ktoś wysiadła i to mu sprawia przyjemność.

W zoologicznym ogrodzie.

— Mamusiu, a ten zwierz jak się nazywa?

— Słoń.

— A po co on ma takie duże uszy?

— Bo cały jest duży.

— A czy go kto targa za uszy?

— Nie.

— To szkoda. Takie ogromne uszy, i tak się marnują...

W sądzie.

— Jak się świadek nazywa?

— Kozik Jan.

— Wiek?

— 70 lat.

— Macie dzieci?

— Nie.

— A teraz niech świadek opowie, jak to było z tym pożarem.

— A było tak, przynajmniej sądzie, że mój syn Wawrzek.

— Zaraz, zaraz, przecież przed chwilą świadek powiedział, że nie ma dzieci?

— A juści, dzieci nie mam.

— No, a ten Wawrzek?

— A Wawrzek, to mój syn.

— Wasz syn, więc wasze dziecko.

— Ej, jakie on tam dziecko! Toć to przecie chłopisko, co ma już 52 lata!

Antysemita.

— Jak wieloryb mógł połknąć Jonaszka, kiedy ma taki wąski przełyk?

— Nie wiesz? Żyd się potrafi wszędzie prześlizgnąć.

Siła głosu.

— Więc myślisz, że świeże jaja naprawdę wzmacniają głos?

— Z pewnością — wszak kura po zniesieniu jaja zaraz zaczyna gdać.

Wytłumaczył się.

Jegomość: — Mój panie, kupiłem wczoraj u pana tę oto laskę... Powiedział mi pan, że rączka przy niej jest z prawdziwej kości słoniowej, a tymczasem okazało się, że jest sfalszowana.

Jubiler: — To już proszę pana nie nasza wina, my sprowadzamy kość słoniową wprost z Cejlonu. Widocznie teraz nawet słonie mają sztuczne zęby.

U fotografa.

— Oto są fotografie zamówione przez pańskiego syna.

— Więc to niby ma być on? A czy zapłacił panu?

— Jeszcze nie...

— O to go potem już zupełnie poznaję — tak, to mój syn.

Miłośnik zwierząt.

— Czy lubi pan zwierzęta?

— O jeszcze jak...

— A które najlepiej?

— Zajączka z buraczkami.

Wynalazek.

Pomeranc wziął dorożkę, aby się przejechać. Zamyśliwszy się o interesach, o tym świntuchu Pipermanie, który nie oddaje długu, o plajtach kilku znajomych, jedzie dość, długo, wreszcie spostrzegłszy się, zatrzymuje dorożkarza i pyta, ile mu się należy.

— Pięć złotych, proszę pana.

— Jakto pięć złotych — czy ja panu kazałem tak daleko jechać? — Niech pan wróci za dwa złote wtył...

Prolongata.

— No, niechże mi pan powie, panie Piperman, kiedy pan wreszcie zapłaci mi swój dług?

— Wie pan co panie Pomeranc, na to pytanie, to ja muszę panu zostać dłużnym i — odpowiedź.

Z teorii ciepła.

— Co rozumiemy, panie kandydacie, pod wrażeniem ciepłota związana?

— Rozumiemy, panie profesore — futro w lombardzie.

Czas jesienny.

— Ile lat ma twoja ciocia?

— Trzydzieści siedm — ale wczoraj cofnęła na dwadzieścia dziewięć... tak, jak się cofa zegar na jesieni.

sie wojny domowej mówiłem: „Dziesięć, dwadzieścia lat poprawnych stosunków z wieśniakami, a zwycięstwo na przestrzeni całego świata jest zapewnione — w przeciwnym zaś razie przyjdzie dwadzieścia do czterdziestu lat tortur białego terroru“. „Czy, aby ma to oznaczać powrót monarchji“, pyta Stalin? „I to jakiej monarchji, odpowiada Lenin. Kiedyż miałyby to nastąpić, wtrąca z niepokojem Stalin“? „To wylicz sobie sam, mówi Lenin“. „Jesteśmy obecnie już zgórą 13 lat u władzy, liczy Stalin, a ty mówiłeś o dziesięciu do dwudziestu, ale czyż była moja polityka wobec chłopów zła“?

W tem dzwoni telefon, Stalin się zrywa z łóżka. Mołotow melduje o wykryciu tajnej drukarni trockistów.

Oto fragment, z mającej się w krótkim czasie ukazać książki p. t. „Stalin ma wizję“, pióra D. Levina, Amerykanina, urodzonego w Rosji, który do ostatnich czasów pozostawał w korespondencji z szeregiem wodzów rosyjskiego komunizmu. Zna on też doskonale Stalina, a znakomita, jedyna w swoim rodzaju charakterystyka tego ostatniego zawarta, w powyższej pracy, stanowi jej największy walor.

Rewera.

ZŁE MOCE

Porwały się snów ludzkich złote przedce
I jak na sabat w piekielnym ordynku,
Wśród gromów burzy spadły myśli, jedze
Wygnały lud w tulaczkę bez spoczynku. —

Hen! ku złotej zorzy ginącej w dali. —
Nie masz jej... po życia wzburzonej fali
Nędzy ramiona wyciągnięte chude
Chwytają pokracznych mamideł złudę. —

W krąg wszystko milczy z obojętnym chłodem,
Martwa pustka ponad życiem młodem...
A w groźnych mrokach przeczucia bieleja
Krypy grobowe... Od nich wichry wieja

Na ludzkość w rozpacz obłąkanym szale!
Gdzieś... echo błdzi po ostatnim strzale...
I z jękiem bolesnym bieży w zawody —
Od zamków do niskiej chłopka zagrody.

Puka i pyta i w ciemności błdzi —
Zali nikt nie odpowie, nie osądzi
Dziejowych zbrodni w bohaterstwa szychu...
Nikt ludów nie słyszy groźnego ryku?!...

Ludów spętanych w głodowe okowy
Rzuconych w rozpacz bezdenne rowy
Z dzikim pomrukiem na bezkrwistych wargach
Groźnych w swej sile i milczących skargach!...

Szaleją ludy... smutne ich szaleństwo
Nie straszny im gwałt, nie straszne przekleństwo
Pójdą przez mord, śmierć, poprzez zbrodni noce
Krwia na sztandarze wypiszą swe moce!

Dzierżąc miecz w dłoni z nienawiścią w oku
Piekieł potwory wyłonią się z mroku
Zakrzykną wrogo, jak nocą puchacze.
Nic nie pomogą prośby, ni rozpacze...

Gdy wczas nie przyjdzie szlachetny zbawiciel,
Jeśli się znajdzie pośród nich wicherzyciel...
Przez morza łez i krwi pójdą złe widma,
W dziejach ludzkości drapieżne straszydła...

Mściciele wyjdą poza nędzy progi,
By w mrokach rozniecić zemsty pożogi.
Żadne z poświęceń nie dokona cudu...
Biada ci, biada nieszczęśliwy ludu...

Obsiane pole zniszczone wraz będzie,
Wszechwładna wszędzie nędza zasiedzie
Na pogorzeli sromota zapieje,
Wichrem szatańskim pustka się rozśmieje...

Podajcie dłonie, nim skrwawi się ostrze
Nim anioł zagłady skrzydła rozpostrze.
Miecz krwawy przekujcie w pracowity pług,
Niechaj przeorze nienawiści głóg...

Al. Ogończa-Srednicki.



Jako wyraz odzyskania suwerenności. Cita del Vaticano, ustaliła własny system pieniężny. Mennica papieska przygotowała już przepiękne wzory nowych monet, które też zostały wykonane. Monety watykańskie wyróżniają się przepięknym rysunkiem pełnym pastycznego wyrazu. Treść wzorów symboliczna, doskonale licuje z przeznaczeniem monet.

Z WIEDZY, LITERATURY I SZTUKI

Z T E A T R Ó W.

„Sztuba” Leczyckiego wniosła wiele odświeżającego swą brawurą pierwiastku do dyskusji o kryzysie polskiej szkoły. Że taki kryzys istnieje, nie ulega to najmniejszej wątpliwości. P. Leczycki w swej, dość już rozgłoszonej sztuce, usiłuje nam przedstawić jego przyczyny i objawy.

Najpierw więc, choć może autor nie zdaje sobie z tego sprawy, szkoła odczuwa kryzys autorytetu, który zresztą odczuwa dziś cała, chwiejący się w posadach świat. Potem przechodząc już na ściśle szkolny teren, wyłania się kwestja metody nauczania i wychowywania. Autor i tu nie ma odwagi i chęci do wypowiedzenia ostatniego słowa. Przedstawia nam ostry zatarg ucznia ze szkołą, najzdolniejszego ucznia, lecz jednostki moralnie nie opanowanej. Szkoła rozwinięła jego intelekt, nie dała jednak oparcia dla jego działalności na gruncie prawdziwych wartości duchowych.

„Sztuba” pozatem jest dość ostrym pamfletem na system nauki a zwłaszcza egzaminów maturalnych. Należę do tych, co przykładali rękę do obalenia szablonu tej kontroli wiedzy i umiejętności uczniów — więc też z sympatją traktuję inwektywy p. Leczyckiego. Mam jednak to zastrzeżenie, że szkole nie można wogóle odmawiać prawa do selekcji młodzieży. Natomiast przedmiotem dyskusji i szerokiej krytyki mogą być metody dokonywania tej selekcji.

Wiele dyskusyjnego materiału wnoszą dwie wystawione ostatnio w Ateneum sztuki „Senat szaleńców” i „Szkoła obłądy”.

W „Senacie szaleńców” p. Korczak jako trybunę do omówienia wszystkich bolączek i zagadnień współczesnych — obrał sobie dom warjatów. To też używa sobie szczerze na wszystkim, omawia problemy religijne, społeczne, pacyfizm i co tam się da, kładzie w usta różnych warjatów wyznanie wiary w Boga, bardzo swoiście pojętego, potraça nawiasem o politykę populacyjną, etykę, estetykę i tysiąc i jedna spraw. Wszystko z ogromnym ferworem i tupetem. Jak to jest właściwe warjatom. Nie sposób jest na serio dyskutować z autorem o tych sprawach, gdyż każdej chwili może się skryć za plecy któregoś ze swych warjatów i powiedzieć: „przepraszam bardzo, ale to nie ja”. Trzeba przyznać, że wiele rzeczy w sztuce bieżmy interesująco, całość jednak jest męcząca i na-

ciągnięta. Na swą obronę może autor powiedzieć, że przecież w „Nieboskiej komedji” Kraszińskiego są sceny ze szpitala warjatów. No tak, ale to nie wypełnia całkowicie sztuki, stanowi tam kontrast z założeniami sztuki. Otwarcie zaś przed nami „Senatu szaleńców”, to trochę za mocna porcja. Co prawda, autor znów może się bronić, że chciał nam spotęgować do maximum wrażenia, że twórca ma prawo kondensacji nastroju. Owszem niech będzie kondensacja tylko tak, by nie rozsądziła nam życia.

Podobną kondensację, lecz teraz przewrotności, podłości i obłądy daje sztuka „Szkoła obłądy” — bohater jej walczy na prawo i lewo o prawdę, o prawo do ujawnienia prawdy. Napróžno jednak, gdyż zewsząd tłoczy go zмова obłądy, cicha mafia przewrotności, która oplątała świat i wysysa zeń wszystkie żywotne siły.

Walkę z tą zmovą podłych przezwil niewinnemu przedstawiła również sztuka „Sprawa Dreyfusa”, grana w teatrze melodram. Jest to charakterystyczny dla naszych czasów t. zw. repertaż teatralny, bez głębszych pretensyj filozoficznych. Wystawiono rzecz efektownie.

Z Z A C H E T Y.

Doroczny Salon nie przynosi nic, co możnaby uznać za wydarzenie w rozwoju polskiej sztuki. Jeśli nie stanowi kroku w tył, to napewno nie przejawia żadnego postępu. Lapidarnie ujmując, można powiedzieć, że starzy mistrze zapominają o tem, do czego są zobowiązani z wieku i z urzędu, młodzi zaś wogóle nie są mistrzami.

Stereotypowość tematów i niedbalstwo techniki — oto ogólny bilans. Oczywiście są wyjątki i to wcale znakomite, że wspomnimy o płótnie Lasockiego Łabędzie i Jezioro. Malowane według klasycznych zasad dawnych pejzażystów, te imponujące płótna wnoszą przedziwną pogodę, jasność i wprost słoneczną świetlistość do sali, w której wiszą. Mamy tu wszystkie cechy wyrobionej techniki Lasockiego, doskonały majstersztyk malarskiej wirtuozerji.

Wogóle jednak pejzaż w Salonie

nie wnosi nic nowego, poza może Domaradzkim — kilka znakomitych zimowych widoków. Rzecz zastanawiająca, z jaką wiernością na niewielkim stosunkowo płótnie umie Domaradzkim wydobyc smętek chmurnego dnia zimowego. Mimo jednostajności kolorytu, artysta świetnie oddaje daleką perspektywę i pociągą głębią krajobrazu.

Wspomnieć należy o Rupniewskim, którego fioletowy „zmrok” nad strumykiem budzi pewne wątpliwości, o Podgórkim, który chce nam pokazać grę światłocienia w górach, jednak jego „smuga cienia” niema prawdziwie przerażającej głębi a pocałunek słońca, złożony na śnieżnych szczytach, niema tej intensywności, jaką mieć powinien. Nartowski pokazał nam parę akwarel, bliźniaczo podobnych w swym nastroju do tego, co oglądaliśmy przed miesiącem. Popowski i Ziomek oczywiście są. Jak ktoś jednak zauważył, mamy tu po raz setny i pierwszy nieodzowny las o zachodzie z mgiełką czy dymkiem. Ziomek wystawia zimę.

Naprawdę interesująco przedstawiają się techniką pointylistyczną zrobione dwa płótna Jarosza. Zwłaszcza zaś Jesień daje doskonały efekt w nastroju, dzięki tej ciekawej i naogół rzadkiej technice. Tragizm jesiennego krajobrazu, gdy złośliwy chłód niby kat odziera drzewa z liści, zostawia nagie, żałosne szkielety — doskonale harmonizuje ze sposobem kładzenia plam drobnymi punktami.

Kilka interesujących wnętrza, daje niezawodny Iwanowski, znany ze swego szczególnego upodobania do Łazienek. Podziwiać należy znakomicie oddaną głębię pałacowych sal, u której kresu jaśnieje okno barwnego krajobrazu.

Z obrazów „historycznych” mamy Jerzego Kossaka, który z właściwym sobie rozmachem maluje fragment batalistyczny z r. 1920. Oczywiście do Matejki, czy Brandta jeszcze daleko. Jest przecież nerw dramatyczny i zacięcie „urodzonego z pędzlem w rękę”.

Bunsch jak zwykle niepokoi swym tragicznym mistycyzmem w doskonałym „ofiarowaniu”, czy jak to się nazywa, natomiast rzeczywiście drażni nas poprzetrącanym chyba przez koła do straceń „aktem na dywanie”, ugarniowanym sporym domem dzieckim w manierze a la Hoffman.

J. Cz.



Z PIŚMIENNICTWA

ARTUR ŚLIWIŃSKI: Na przełomie dwóch epok. Gebethner i Wolff. Rok 1931. Str. 161.

Książka Artura Sławińskiego jest jakże potrzebnym układem polskiej myśli krytycznej do dzieła osądu naszych czasów przełomowych. Autor na tle bardzo gruntownej analizy gospodarczych, społecznych, politycznych i ideowych przejawów współczesnego życia — stara się odpowiedzieć na pytanie, czy obecny kryzys jest wstępem nieubłaganym do nieodwołalnej katastrofy współczesnej cywilizacji, czy też jesteśmy rzeczywiście na przełomie dwu epok, a świat po odrzuceniu zbędnego balastu doktrynerstwa myśli i niedołącznej praktyki — wkroczy na nowe tory przyszłej kultury. Autor z dużą wnikliwością i gruntownością gromadzi materiał dowodowy i oskarżający, że obecna epoka przeżyła się, wyszukanie pozytywnego wyjścia pozostawia czytelnikowi.

Książka godna uwagi i skupionej refleksji, napisana jasno i dobitnie.

J. Cz.

WŁ. ZAMBRZYCKI: Nasza pani radosna. „Rój”, Warszawa 1931.

Mnoży się w beletrystyce naszej coraz więcej powieści bardzo mętnych pod względem etyczno-ideowym. Do takich należy powieść powyższa, pisana z pewnym talentem i szczyptą dowcipu. Tem gorzej dla czytelnika i dla autora.

Dawniej nikt nie brał za bohaterów powieści handlarzy narkotykami i alkoholem, oszustów, ludzi mających nieporozumienia z policją i t. d.

Zaraza sensacyjności i kryminalistyki w prasie zrobiła swoje. Czytelnik przyjmuje takiego bohatera — czyż jego przygód nie czyta codziennie na łamach gazet, karmiących czytelnika sensacją? Z literatury, jak i z życia towarzyskiego coraz bardziej znika dystynkcja i dobry ton.

Ale to jeszcze nic. Powieść zawiera zupełnie bałamutne poglądy na sprawy religij. Przytoczony list apostołski, rzekomo św. Łukasza-Ewangelisty. Tam są takie wskazania: „Dobrze się stało, że chrześcijanie judejscy odłączyli się od was (od chrześcijan-Greków)”. „Zostawcie ich losowi ich, a w skostniałości swojej sami do zginienia przyjdą”. „Niemaszy wątpliwości dla prawego chrześcijanina w wyborze między nauką Chrystusa a Mojżesza. Okrutne to pismo (Stary Testament) przez Chry-

stusa Pana zniszczenie bierze”. I tak dalej. Widocznie przez nowoczesny antysemityzm autor chce po swojemu wyłożyć naukę Kościoła, przekręcając znaczenie ksiąg Starego Testamentu i ich prorocत्व i nie wiedząc o tem, że Chrystus przyszedł Zakon nie zniszczyć, lecz dopełnić, realizując jego zapowiedzi — i że jest on i dla chrześcijan skarbnicą Objawienia Bożego, chociaż w ludzkości jeszcze grubej i pierwotnej nie miało to Objawienie form i wyrazu, pełnego piękna i doskonałości, jak w Ewangeljach. Co jest zrozumiałem, gdyż tamto Objawienie głosili prorocy — ludzie, a Ewangelję — Syn Boży.

Autor obok idiosyncrazji do judaizmu ma kult dla Grecji. Umieszcza małą apologję pogaństwa, tłumacząc, że bałwany dla pogan były też tylko symbolami, jak nasze posągi i obrazy. Już zupełnie Anatolem France'm zaś trąci opowiadanie o tem, jak posąg Junony przyjęto za figurę Matki Boskiej i jak tenże nawet zdziałał cud. Zaś kapłan Junony, przeniesiony w nasze czasy, został księdzem katolickim, czcząc dalej ów posąg — jako Junonę? jako Najświętszą Pannę?

Może autor nie miał złych intencji, ale czytelnikom mniej wykształconym pod względem religijnym narobi napewno porządnego bigosu w głowie. I to w czasach źle pojętego racjonalizmu i grasowania teozofji.

A. Z.

M. B. LEPECKI: Z Marszałkiem Piłsudskim na Maderze. Warszawa 1931. Cena 4.80 zł.

M. B. Lepecki jest nam dobrze znany ze swych podróży po Ameryce Południowej oraz z opisów i wspomnień z tych egzotycznych wypraw. Dorobek jego z tego zakresu liczy pokazną ilość niezwykle zajmujących prac, które odkrywają przed czytelnikiem nieznanne kraje i lądy. Przytoczę z nich niektóre: „Na cmentarzyskach Indjan”, „Pod tchnieniem sirocca”, „W krainie jaguarów”, „Oceanem, rzeką, lądem”, „W selwasach Paragwaju” i t. p. Z pod pióra tego autora wyszła również praca p. t. „W blaskach wojny”, w której opisał on swój pobyt i przeżycia na froncie bolszewickim. Obecnie wydał on nową pracę, częściowo o charakterze opisu z podróży p. t. „Z Marszałkiem Piłsudskim na Maderze”. Geneza tej pracy jest następująca: Gdy w połowie grudnia ubiegłego roku Marszałek Piłsudski udawał się na wypoczynek na

wyspę Maderę, wśród osób, stanowiących szczupłe otoczenie pana Marszałka, był również autor tej książki, który przez to samo miał możność poznać zarówno wyspę jak i tryb życia pana Marszałka podczas wywczasów. Opowiadanie swe autor zaczyna od chwili wyjazdu z Warszawy przez Austrię, Szwajcarję, Francję, Hiszpanję, Portugalję, poczem zapoznaje czytelnika z wyspą Maderą. Podaje jej historję, omawia zwyczaje i obyczaje ludności, opisuje jej stolicę Funchal, przyrodę, piękne krajobrazy i t. p. Z pamiątek i osobliwości wyspy autor wspomina o domu, w którym mieszkał Kolumb oraz o grocie ostatniego cesarza Austrii Karola Habsburga, zmarłego na tej wyspie. Dużo miejsca poświęca autor omówieniu jak mieszkał i spędzał czas Marszałek Piłsudski, co czytał, co robił i jaki prowadził tryb życia, notuje ciekawe jego opowiadania i t. p.

Jak wiadomo podczas pobytu pana Marszałka na Maderze wybuchła tam rewolucja. To wydarzenie szczegółowo omawia autor, podkreślając jej nieco operetkowy charakter.

PIA GÓRSKA: Wspomnienia o Chełmońskim. Gebethner i Wolff. Rok 1931.

Barwna książka, pisana pod wpływem wielkiego afektu dla genialnego polskiego pejzażysty. Autorka ukazuje nam Chełmońskiego w przekroju zwykłej rzeczywistości, w perspektywie szarego dnia i właśnie na tle tej przeciwności — postać duchowo Chełmońskiego rysuje się nam tembardziej monumentalnie. Mamy tu do czynienia z rzeczywiście wyjątkową indywidualnością o wielce harmonijnem i bogatym wnętrzu duchowem.

Duchowość Chełmońskiego daje nam obraz pełni zupełnej pierwiastków moralnych, intelektualnych i siły ich związku. Głęboko religijny, wielki miłośnik świata zwierząt i roślin, pokrewny w tej dziedzinie duchem św. Franciszka, Chełmoński żyje w ustawicznym napięciu entuzjazmu do przyrody, z którą brata się, wczuwa, poprostu połączyć chce się w jedno. Hymnem pochwalnym dla przyrody — staje się też jego twórczość malarska, oddychająca wprost żywiołowością sentymentu.

Książka Górskiej z przedziwną prostotą rzuca nam snop światła na życie Chełmońskiego. Piękna książka.

J. Cz.

ZE ŚWIATA

1. Procesja ze świecami w Montagne w Belgji. Uczestnicy posuwają się na kolanach.

2. Młode lwiątko w Zoo w N. Jorku.

3. Operacja palca u goryla. Po operacji wdzięczne zwierzę uściskało doktora.

4. Rumuńscy mnisi prawosławni z klasztoru św. Piotra i Pawła. Najmłodszy liczy 60 lat.

5. Chwila milczenia pod pomnikiem artylerji w Londynie, w rocznicę zakończenia wojny.





NA FALACH CZASU

Ostatnio dowiedział się świat, że Niemcy wystąpiły z prośbą o zwołanie komisji dla zbadania ich zdolności płatniczej w stosunku do zobowiązań z planu Younga. Ten krok Niemiec zamyka ostatecznie okres ich sprzeciwów i walki z planem Younga, walki, którą niewątpliwie na swój sposób podsycało wystąpienie Hoovera z inicjatywą moratorium.

mieć o grożącym bankructwie a nikt już słyszeć nie chciał o odrzuceniu planu Younga i otwarciu na nowo dyskusji nad reparacjami.

W tej kwestji wysunęła mocno Francja swój punkt widzenia. Przewidywaliśmy, że Niemcy przeciwstawią się ona łączeniu w jedną całość zobowiązań Niemiec.

Nie można łącznie omawiać tych

Wypłat Międzynarodowych w Bazylei o zbadanie przez specjalną komisję zdolności płatniczej Niemiec.

Konferencja waszyngtońska Hoovera z Lavalem była sukcesem tego stanowiska Francji. Wspólny komunikat konferencji mówił o „inicjatywie w ramach planu Younga”, a więc formalnie uznawał francuski punkt widzenia. Mówił dalej o „układzie na okres depresji gospodarczej”, a więc przewidywał, że zmiana planu Younga będzie tylko chwilową. Z tym rezultatem wracał Laval do Paryża — i ten rezultat musiały Niemcy przyjąć do wiadomości. Walczyły z nim jednak i dopiero obecnie, prosząc oficjalnie o wdrożenie postępowania przewidzianego planem Younga, akceptowały go. Akceptowały po raz drugi plan Younga, „trybut wersalski”, jak piszą niemieccy nacjonaliści.

Mamy więc ten piękny sukces francuskiej dyplomacji, która, po pierwsze, doprowadziła do uznania planu Younga przez Niemcy i do poddania się płynącym stąd konsekwencjom. Następnie Niemcy muszą zgodzić się na taki porządek: najpierw reparacje, potem handlowe kredyty. Ustalona komisja będzie miała dość szerokie zadania i zajmie się zapewne całością zagadnienia zdolności płatniczej Niemiec.

Rzesza niemiecka nie mogła zresztą dłużej zwlekać z tą sprawą, bo rzeczywiście dalsze przewleknięcie zmusiłoby ją do „ogłoszenia jednostronnego moratorium dla długów zagranicznych” — co równa się bankructwu. A skutki? Próbe tego odczuły Niemcy w czasie letniego krachu.

Niewątpliwie, jak już zaznaczyliśmy, jest wiele humorystyki w stanowisku Ligi Narodów do konfliktu japońsko-chińskiego. Lecz źródła tego tkwią głębiej niż to początkowo podawaliśmy, opierając się na fragmentarycznym ujęciu sprawy. Oczywiście, jest to trochę groteskowe, że w konflikcie mandżurskim nie sposób



Widok N. Jorku w nocnym oświetleniu. Po lewej stronie olbrzymi Empire State Building, na którego szczycie świeci latarnia, widoczna na 50 mil wokół.

Niemcy skwapliwie podchwyciły hasło moratorium i zaczęły wyciągać stąd daleko idące wnioski. Chciały więc, by zagranica traktowała jako całość zarówno ich zobowiązania państwowe (chronione i niechronione raty reparacyjne) jak i kredyty prywatne. Wskutek takiego ujęcia liczyli na to, że uda się przez nacisk prywatnych wierzycieli Niemiec doprowadzić do zmiany planu reparacyj.

Manewr ten nie udał się. Nie wierzono w teatralne deklamacje Nie-

dwóch spraw, gdyż ani państwa nie mają prawa narzucać tu swego punktu widzenia prywatnym wierzycielom i dłużnikom, ani wzajemnie ci wierzyciele i dłużnicy nie mogą mieć wpływu na zobowiązania państw.

Powtóre — stali Francuzi na stanowisku, iż plan Younga nadal obowiązuje, przewiduje sposób badania zdolności płatniczej Niemiec i że Niemcy, o ile chcą zmiany dotychczasowego układu, powinny uciec się do postępowania, przewidzianego w planie Younga, to jest prosić Bank

było początkowo ustalić, kto jest n a p a s t n i k i e m, na kogo więc spada odpowiedzialność za wywołanie wojny. Bo, że na Wschodzie zagrały armaty, że walczone na regularnym froncie według wszelkich zasad strategii, to nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Lecz istniały także poważniejsze przyczyny, że Liga Narodów znalazła się w trudnej sytuacji wobec zadania postawienia kropki nad i. Łatwo bowiem mogło się stać, że potępiając napastnika, t. j. Japonję, która dokonała gwałtu na terytorjum obcym, mogła Liga wesprzeć przez to Chinę, które prą również do rozgrywki z Japonją, aby zerwać traktaty handlowe. Konflikt więc tkwił głębiej i do pewnego stopnia była racja po stronie Japonji, uważającej, że trzeba choćby z bronią w rękę poprzeć zagrożone traktaty.

Tak właśnie oceniały sprawę niektóre organa opinii angielskiej, jak Manchester Guardian, które pisały, że cała ich sympatja jest po stronie Japonji. Oczywiście narody europejskie zainteresowane są w nienaruszalności swych traktatów z Chinami, by nie rozumiały całej ważkości i subtelności zagadnienia.

Na tem tle staje się zrozumiały dylemat, nad jakim obecnie biedzi się Liga Narodów. Japonja nie chce wycofać swych wojsk z Mandżurji, póki Chinę nie zagwarantują wykonywania korzystnych ekonomicznie dla Japonji dawnych traktatów, Chinę zaś głoszą, że nie mogą uznać traktatów egzekwowanych siłą. Liga Narodów nie mogła formalnie uznać ani stanowiska Japonji, okupującej Mandżurję, ani stanowiska Chin nie respektujących traktatów i w rezultacie radziła tak długo, aż Japończycy, zrozumiałwszy widocznie o co chodzi, opanowali Mandżurję w takim stopniu, że mogą sobie obecnie pozwolić na luksus formalnych chociażby ustępstw, umożliwiających wyjście Lidze z impasu. Interwencję jej przyjmą tem chętniej, że jeśli Chińczycy zmusiliby ich do dalszych zwycięstw, zwycięzcy gotowiby natknąć, całkiem niespodzianie na nowego przeciwnika, już dziś mocno temi wypadkami zdenerwowanego, t. j. Sowiety.

Kompromis ten polegałby na tem, że Liga Narodów wysłałaby na Wschód komisję, któraby jednak zajęła się nie tylko wypadkami w Mandżurji, ale także i bojkotem towarów japońskich w Chinach. Przytem wszakże żąda Japonja cofnięcia przez

Ligę Narodów żądania z 30 września co do opróżnienia oznaczonych części Mandżurji w określonym terminie, czyli, że okupacja Mandżurji trwałaby aż do uregulowania zatargu. Ponieważ w czasie odbytych w tej sprawie w swoim czasie konferencji, przedstawiciel Ameryki gen. Dawes zajął wobec tych propozycji stanowisko przychylne, przeto uchodzi za rzecz prawdopodobną, że Rada Ligi komisję swą wyśle, poczem obrady swe odroczy.

Oczywiście, że taki przebieg wypadków oznacza zwycięstwo Japonji. Lecz należy zdać sobie sprawę z tego, że to zwycięstwo leży de facto w interesie polityki światowej.

Rozumie to Francja, rozumieją St. Zjednoczone, gdzie nastąpił wyraźny zwrot na korzyść Japonji. Wiąże się to po za kwestją gospodarczych interesów na Wschodzie — z zagadnieniem komunistycznych. Polityka europejska szybko zorientowała się, że konflikt mandżurski jest jednym z ogniw walki z przenikaniem propagandy bolszewickiej do Chin, ile zła komunizm narobił w Chinach, nie trzeba dodawać — jaka to groźba dla interesów państw europejskich i Japonji — sprawa jest jasna.

Temu naporowi bolszewizmu jego planom do opowania Chin mogła się jedynie przeciwstawić Japonja, jako najlepiej znająca teren i zainteresowana gospodarczo. To też Japonja początkowo neutralnie zachowywała się wobec akcji Sowieta w Chinach. Dzięki precyzyjnej znajomości spraw sowieckich i licząc się ze swymi interesami, Japonja w swoim czasie zachowała w sowiecko-chińskim zatargu ścisłą neutralność, aby mieć możność powoływania się na nią, gdy sama rozpocznie realizować swoje plany w Mandżurji i spotka się na tym terenie z kontrakcją bolszewicka

W Japonji nie tylko tworzy się, lecz już powstał taki nastrój, który może w dowolnej chwili wylać się w zdecydowaną walkę przeciw Sowieta, zwłaszcza jeżeli Sowiety wykazą swą zwykłą, lub nową aktywność, skierowaną przeciwko planom japońskim.

Od pewnego czasu w Japonji funkcjonuje szereg towarzystw i organizacji, mających na celu przygotowanie opinii publicznej do przyszłych wypadków poważnej doniosłości. Z jednej strony mają one na widoku podtrzymanie planów ekspansji Japonji na kontynent, a z drugiej odpowiednie urobienie opinii szerokiej



Twórca wzorów na monety Citta del Vaticano.

na wypadek konfliktu zbrojnego z Sowieta.

Jak widzimy, konflikt mandżurski może okazać się tylko wstępem ogniem do generalnej rozprawy na Wschodzie — z niebezpieczeństwem bolszewickim.

Ze Sowiety czują pismo nosem i szukają wobec zagrożenia pewnych reasekuracji, dowodzi tego, że w obecnym momencie wysunęły znów względem Polski propozycję podjęcia pertraktacji o pakt nieagresji.

Sowiety chcą, jak widać, na wszelki wypadek zabezpieczyć sobie tyły.

Pozatem inicjatywa Sowietów niewątpliwie też ma pewien związek z osłabieniem się ich kontaktu z Niemcami, które zrujnowane gospodarczo nie mogą Sowietów wspierać.

Na tę stronę zagadnienia słusznie zwraca uwagę „Czas”:

„Polska, która nie ma wobec Rosji żadnych zaczepnych zamiarów i chętnieby doszła do handlowego porozumienia z Sowietami, była zawsze skłonna do zawarcia z nimi paktu, gwarantującego obu państwom pokojowe współzycie. Jednakże propozycje polskie pod tym względem natrącały stale na stanowisko negatywne Sowietów, ubrane w formy dyplomatyczne i różne sztuczne wykombinowane zastrzeżenia, poza którymi kryły się oczywiście wpływy niemieckie. Zawierając swoje układy polityczne i handlowe z Sowietami miały Niemcy na celu pozyskanie sprzymierzeńca przeciwko Polsce, i dlatego finansując Rosję — przy pomocy nie swoich zresztą kapitałów — odjęły Sowietom wolną rękę wobec Polski. Teraz, kiedy Niemcy nie tylko nie są w stanie dostarczać Rosji dalszych funduszy, których ona koniecznie potrzebuje, ale chciałyby wycofać kapitały Sowietom pożyczone — nacisk polityczny z ich strony nie jest poparty żadnym pozytywnym argumentem i Sowiety nie są już skrupowane względami na niemiecką przyjaźń. To też — nie podkreślając przypuszczenia, że obecna inicjatywa sowiecka jest także próbą wywarć a presji na Niemcy, — ewentualnie przedjednania Francji, jako bankiera świata — konstatujemy,

że moment dla rokowań o gwarancje pokojowe jest korzystny i wiele za tem przemawia, że sprawa ta już dojrzała”.

Po całym kraju przeszedł ostatnimi czasami jakiś dziwny wstrząs. Zadręgały szeregi młodych obywateli, którzy wyciągają ręce, by obok ze starszymi, lub po nich ująć pług życia i uprawiać rolę Rzeczypospolitej.

To też „sympatje spokojnego społeczeństwa polskiego zostały całkowicie po stronie akademika polskiego... Przyczyną tego zjawiska jest to, że społeczeństwo starsze wyczuło w ruchu młodzieży akademickiej nie egoistyczne dążenia, nie wyładowywanie się tylko nadmiaru energii młodzieńczej, która często nie dba o reguły i przez to grzeszy, nie o swawolę, zawsze zasługującą na ostrą rękę, lecz dążność do uczylenia narzucającej się całemu życiu naszemu przemocy i niezasadzonej pretensji do przewagi nad naszym intelektem, duszą i nad zyciem naszym kulturalnym, gospodarczym i politycznym obcej psychy żydowskiej”. Oczywiście wszelkie ekscesy z punktu etyki chrześcijańskiej zasługują na potępienie.

Jednak nie udowodniono akademikowi polskiemu czy to pojedynczej, czy też zbiorowej prowokacji, ani ekscesu.

Jako ciąg dalszy walki z żydostwem rzucono hasło bojkotu handlowego. Teoretycznie potępić można bojkot, jako sprzeciwiający się zasadom sprawiedliwości i tamujący zdrowy rozwój życia gospodarczego kraju. W praktyce jednak należałoby postawić sobie pytanie, czy bojkot ten nie jest zjawiskiem u nas stałym? Bez wątpienia — on był i jest wytrwale i konsekwentnie uprawiany przez jedną ze stron obecnie poważnionych. Musimy to sobie uświadomić, że przecież żyd, z wyjątkiem najniższych posług lub najcięższej pracy, nigdy nie zażąda pracy chrześcijanina. Chrześcijanin rzemieślnik i inteligent zawodowy nie ma klienteli wśród żydów. Prócz ziemiopłodów, bydła lub surowców, żyd nic nie nabywa u kupca chrześcijanina.

Z ZACHĘTY.

Sam natomiast Hoffman prezentuje nam kilka płócien o bardziej niż dotąd realistycznym zakroju. Świetny wprost jest góral z dzieckiem. Na wystawie nie brak portretów. Daje portretowe płótna Norblin, zgoła nie przypominający techniki swych ilustracji i winiet. Wojciech Kosak daje kilka portretów w mundurach. Brawura właściwa mu, daleka jest od wszelkiej problematyki psychologicznej. Przeciwnie u Grabarza, który zostawia wrażenie jakiejś niepewności nie tylko co do psychologii „delikwenta”, ale i może co do niektórych chwytów technicznych. Jest oczywiście Kawecki, jest przede wszystkim świetny czołowy bodaj na całej wystawie portret dyr. Górskiego, pędzla Błażki Mercer. I jest wreszcie całe mnóstwo portretów w różnych sztucznych pozach, o ptasich główkach, których proporcje nie mają nic wspólnego ze złotą miarą, żeby więc nie powiedzieć nic złego, załóżmy złotą plombę milczenia.

Pominiemy też milczeniem całe mnóstwo złe namalowanych rąk. Istne to horrendum: ręka na pierwszym planie mniejsza od cofniętej w głąb, jeżą się też włosy na głowie. gdy patrzymy na te kogucio rozczapirzone, jakby w paralitycznym skurczu pazury. Nie są wolni od tego nawet mistrze. I to jest dopiero smutne. Jest także osobliwy akt, w którym nie możemy się doszukać jednego z kolan; ucieka ono bez nadziei, je w tył, choć malarz miał zdaje się o innego na myśli.

Zwrócić wreszcie wypadnie uwagę na makaty hr. Łubieńskiej, o deseniach pełnych umiarkowania i prostoty o kolorycie, zachęcającym swą barwnością.

Jest oczywiście całe mnóstwo płócien, o których jeśli nie mówimy, to nie dlatego, że nie chcemy mówić źle, lecz, że raczej nie możemy mówić dobrze

J. Cz.



Nowy Biskup koptyjski.

Dział Kobięcy

DLA DUSZY.

A więc marność jest, szukać bogactw znikomych i na nich pokładać nadzieję.

Marność jest, ubiegać się za dostojęstwem i wynosić się na stan wysoki.

Marność jest, iść za żądzami ciała: i to pożądać za co potem ciężko karany być trzeba.

Marność jest, życzyć sobie długiego życia, a o dobre życie mało się starać.

Marność jest, uważać tylko na życie obecne, a nie przewidywać tego, co po niem nastąpi.

Marność jest, miłować to, co szybko przemija, a nie śpieszyć tam, gdzie wieczne wesele.

— — — — —
Tomasz a Kempis.

O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

ROK NOWY!

Niech natchnie wiarą w lepsze jutro. Niech utrwali przekonanie, że niema tak ciężkich warunków życia, którychby silna wola nie przewyciężyła. Niech zachwianiu ufności we własne siły przeciwstawi przypomnienie, że 125 lat niewoli i prześladowań nie zniszczyły narodu i że nie zniszczy go nikt i nic o ile utrzyma wiarę we własną moc ducha, która go zawsze krzepiła, a której Bóg nie odmawiał swej opieki i pomocy.

Kobięta polska nigdy nie była obojętna na sprawy kraju. Niechże i w tym Nowym Roku, pamięta o wielkiej odpowiedzialności, jaką na nią nakłada rodzina, której jest kierowniczką i niech przykładem: gorącej wiary w niewyczerpane dobro, nadziei, chociażby przeciw nadziei i miłością bezgraniczną, stanie się — wiarą — wątpiących, pociechą — złamanym i ukojeniem wszystkich, którzy na progu jej rodzinnego domu, będą czekali na dar jej dobroci

R E D A K C J A.

DOM I TOWARZYSTWO

Trzeba być wielkim mizantropem lub zgoła neurastenikiem, by wyrzec się ludzi i współzycia z nimi. Inna kwestja, że na tych ludzi, bliźnich naszych, mamy prawo, zapatrywać się trzeźwo. Zdarza się że niepowodzenia i przeciwności, których doświadczamy cieszą czasem zarówno przyjaciół naszych, jak i wrogów, lecz przechodzimy nad tem z pogodą ducha — do porządku. I w pewnych momentach psychicznych ciągniemy zwartą ławą do środowisk ludzkich. Jak dalece potrzeba współzycia jest właściwa naturze ludzkiej świadczy wymownie dający się odczuwać wyraźny nawrót do towarzyskości.

Bezpośredni okres powojenny groził zanikiem współzycia na terenie domowym gromadząc żywiło towarzyskie w kawiarniach, cukierniach i restauracjach. Obecnie, w stosunkach tych zaszła wyraźna poprawa, przez ożywienie ruchu towarzyskiego w domach prywatnych.

Mówi się nieraz o kimś, że jest przemilnym i mądrym człowiekiem, niestety, pozbawionym walorów towarzyskich. O kimś innym zaś fama głosi, że jest zupełnie przeciętną indywidualnością, a jednak jest duszą każdego zebrania, na jakim się znajduje. Co za

tajemne moce trzeba posiadać, aby móc rozciącać nieprzemyślany urok na całe otoczenie?

Przedewszystkiem trzeba mieć humor i wrodzoną pogodę ducha, łatwość wysłowienia, szybkość orientacji i wyrobienie uwagi. Poza tem swobodę ruchów i tę pewność siebie, na którą składa się: stosowne ubranie i umiejętność odpowiedniego zachowania się w każdej okoliczności. To wynosi się z domu a utrwała obcowaniem z ludźmi i nazywa się: wyrobieniem towarzyskiem.

Obecnie często powtarza się narzekanie na obniżenie form towarzyskich. Może i słusznie. Każda epoka ze zmianą wewnętrznych warunków bytu zmienia i zewnętrzne formy. Przychodzą nowi ludzie.

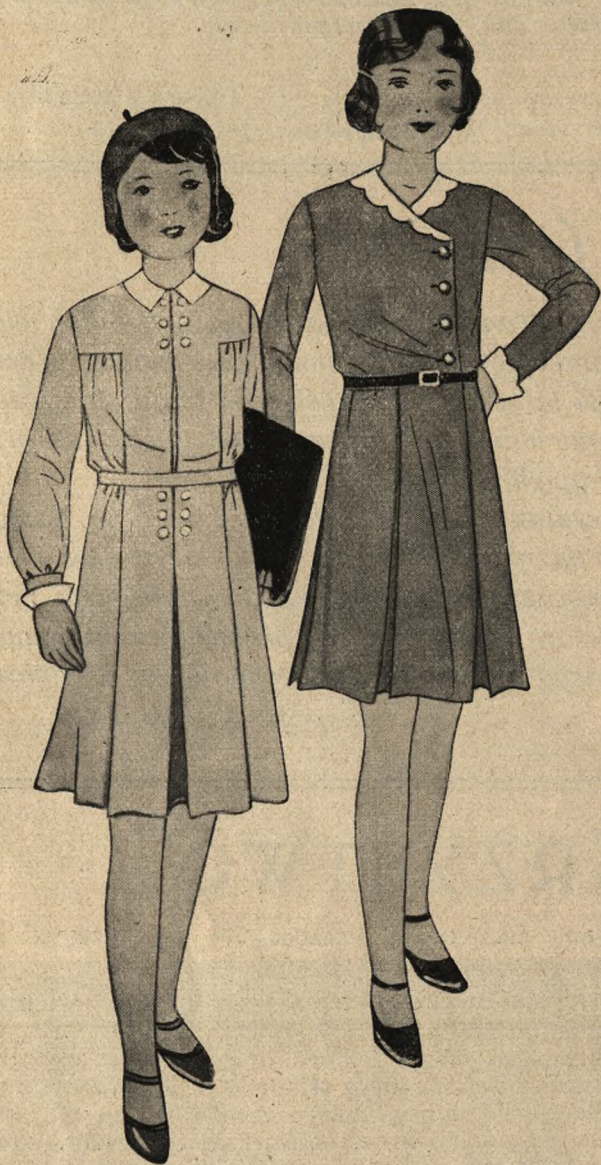
I ten homo novus nie pozostaje bez znaczenia na ukształtowanie się ogólnych warunków życia i narzuca pewien nieunikniony kompromis.

Musi się ktoś od czegoś odzwyczaić i ktoś do czegoś przyzwyczaić zanim nastąpi równowaga harmonijnego obcowania.

Wyrobienie towarzyskie oceniamy zazwyczaj według zaobserwowanego w kimś opanowania. Wszelkie wahanie niezdecydowanie, świadczy o braku podstaw

dobrych form i ich znajomości. Nieśmiałość jest wdziękiem młodości, dodaje więc uroku młodym panienkom, i młodym ludziom z tem jednak zastrzeżeniem, aby nie posiadać cech wspólnych z niezdarnością.

Pewność siebie, jako przeciwwaga skromności i nieśmiałości, nasuwa również pewne zastrzeżenia, aby broń Boże nie przekroczyła niedalekiej granicy nonszalancji i efronterji, któremi to wartościami tak chętnie ludzie bardziej przedsiębiorczy usiłują tuszować oczywiste braki oglady towarzyskiej.



Praktyczne sukienki dla dziewczynek.

Zdolności i wartości towarzyskie kobiet są uświęcone wielowiekową tradycją. Kobiety bowiem tworzą obyczaje! One obdarzone są tą nadwrażliwością słuchu i wzroku, które pozwalają im panować nad otoczeniem, a zebraniu towarzyskiemu nadawać odpowiedni ton. Młoda istota, gdy wchodzi w nieznanne „kółko“ zdobywa się na podwójny wysiłek psychiczny. Uwagę swą i zdolności obserwacyjne wyostrza do możliwych granic, rozwijając jednocześnie cały arsenał drobnych „momentów orientacyjnych“.

Jest to tak wielki wysiłek intelektualny, na jaki żaden mężczyzna nie zdobyłby się nigdy, przez proste lenistwo i poszanowanie wygody osobistej. Mężczyzna nie wiele sobie robi z wrażenia jakie wywiera na innych. Czasem czyni wyjątek, odstępując od tej zasady, lecz zawsze czyni to jedynie na rzecz jednostki, nigdy ogółu!

Kobiecie chodzi o zdobywanie wszystkich. Im zasięg jej większy tem czuje się bardziej zadowolona. Lubi wyczuwać ogólną życzliwość otoczenia.

O ile występuje się z całą surowością przeciwko tak często uprawianemu *zalamaniu* towarzyskiemu, to jednak należy uważać, aby zbytnia szczerość i ufność okazywana jednostkom mniej znanym, z któremi los zbliża nas na terenie towarzyskim, nie stawała się powodem przykrych komplikacyj dla nas samych, a niegłędne rzucanie słów nie dawało nieoczekiwanej wyników.

— „Kto jest ta „żydówka“ w tej ognistej kolji brylantowej?“, pyta ktoś sąsiada.

— „To moja żona.“

Odpowiedź jest równie lapidarna, jak zapytanie. Co jednak w takim wypadku uczynić należy?

Wypowiadanie uwag subiektywnych o rzeczach jest również najeżone niebezpieczeństwami.

Rozbawioną panią, gospodni domu częstuje czekoladkami podtrzymując ręką olbrzymie wieko pudełka, które w pewnym momencie opada na czekoladki.

— Ależ, trzeba mieć gust szczególnie aby ofiarować komuś podobnie monstualne pudło. Na szczęście, że czekoladki są pierwszorzędne!

Gospodni domu jest w kłopotcie, bo obok siedzi ofiarodawca.

To są jednak drobne kolce w wieńcu towarzyskiego współżycia, które mimo wszystko jest wydatną pozycją kredytową w bilansie życiowych uciech i radości.

Współżycie z ludźmi daje dużą dozę szczęścia,

Ale choć dziś warunki ekonomiczne, muszą ograniczyć nasze ambicje gospodyń, to jednak nie powinno być hasłem zamykanie domów, lecz gromadzenie w nich, przyjaciół i życzliwych, wymiana myśli i wrażeń, skrzepienie wzajemnego i podtrzymanie energii, której właśnie dziś potrzebujemy, we wspólnym wysiłku o dobro ogólne.

Marja Ańkiewiczowa.

Z ŁOWICZA

W dniu 15 listopada r. ub., odbyła się w Łowiczu niezwykle miła i podniosła uroczystość.

W obecności miejscowego duchowieństwa, władz państwowych i samorządowych, reprezentantów świata naukowego i wielu bardzo działaczy kulturalno-oświatowych z pośród miejscowego społeczeństwa i przyjezd-

nych ze stolicy oraz sąsiednich miast dokonane zostało poświęcenie i otwarcie Muzeum Etnograficznego rejonu księstwa łowickiego.

Muzeum stanowi własność łowickiego Oddziału Polskiego Tow. Krajoznawczego i jest właściwie wznowieniem, powstałego w lutym 1910 roku Muzeum Kra-

joznawczego Ziemi Łowickiej, które powstało znów jako emanacja istniejącego od 1906 roku Muzeum Pomocy i Zbiorów Szkolnych.

Z powyższego widać, że Muzeum Łowickie ma swoją przeszłość i to przeszłość bardzo chwalebna. Inicjatywa jak i wielkie prace związane z powstawaniem tych trzech kolejnych instytucji — jak również organizowanie całego szeregu wystaw regionalnych — etnograficznych są ściśle związane z osobą p. doktorowej Anieli Chmielińskiej. Jej nadzwyczajny entuzjazm, nigdy niegasnący zapał, a przede wszystkim umiłowanie szczerze i bezinteresownie ludu łowickiego sprawiły, że mimo tylu trudności, zwłaszcza w obecnym położeniu kraju, zostało dokonane przy współudziale najofiarniejszych jednostek społeczeństwa łowickiego na jego cześć i chwałę.

To też dzień otwarcia Muzeum Etnograficznego w Łowiczu, był równocześnie dniem tego hołdu i uznania dla zasług pani doktorowej Anieli Chmielińskiej i jej najbliższych współpracowników: p. Blum-Kwiatkowskiego, prezesa oddziału Polskiego Tow. Krajoznawczego, p. Józefa Balcera viceprezesa, pań: Dietrichowej, Trawińskiej-Wardyńskiej oraz nauczycielki miejscowego seminarjum, gimnazjów i szkół powiatu łowickiego.

Wśród obecnych na uroczystości poświęcenia i otwarcia między innymi byli: przedstawiciel pana wojewody warszawskiego pan radca Gintowt-Drewałowski, pan starosta Więckowski, p. prezydent Michalski, ks. prałat J. Stępowski, przedstawiciel Centralnego Zarządu Polskiego Tow. Krajoznawczego, p. pułk. Wł. Antoniewicz z Warszawy znawca sztuki ludowej, znany etnolog prof. Frankowski z Poznania, delegatka Kół gospodyń C. Związku Kobiet Roln. p. Marja Karczevska i wiele osób ze świata naukowego stolicy i miejscowej inteligencji.

Szereg b. serdecznych i tchnących głębokim uznaniem, szacunkiem oraz podziwem dla dokonanego dzieła, wypowiedzianych mów, świadczyło o należytem oceniu trudności w jakich powstało Muzeum łowickie.

Pokrewne organizacje i osoby wielce zasłużone na polu szerzenia ruchu krajoznawczego nadesłało depezes, inni listy gratulacyjne.

Życzyć należy serdecznie powodzenia w pomyślnym rozwoju tej nowej instytucji na terenie Łowicza, który, mimo wszystko, nie zasypia odrętwieniem i potrafi wykrzesać ze swego społeczeństwa ludzi czynu, żmudnej ofiarnej i twórczej pracy.

Zofja Bykowska.

JAK SPĘDZIŁAM LATO?

Wyrazy młodzieńczego a pięknego zapału dla przyrody, zamieszczamy z radością, tem więcej, że jest ono echem naszej duszy i umiłowań dla cudów Stwórcy. Fotografie po zużytkowaniu pannie Hance zwrócimy z podziękowaniem.

R.

WIELCE SZANOWNNA REDAKCJO!

„Jak spędziłam lato? — Cudownie! Nie wyjeżdżając, ani zagranicę, ani nawet do żadnej miejscowości kuracyjnej, spędziłam lato w cichej wiosce górskiej, w Budzowie. Nietylko malownicze położenie Budzowa uczyniło na mnie takie niezatarte wrażenie, które określiłam jednym słowem „cudownie”. Były inne względy głębszej natury, które właśnie na tem prześlicznym tle przyrody nabrały niezwykłego uroku, baśni nad baśniami. Dziś, gdy patrzę na fotografie z wakacyj i odżywa w wyobraźni ta przemiła kotlina, otoczona górami, pokrytymi lasami — to czuję taką tęsknotę za słońcem, górami, przyrodą wogóle, że wypowiedzieć trudno. — Przypominam sobie, jak to w południe, powietrze rozgrzane słońcem a przesycone balsamiczną wonią żywicy, zaczynało sphywać z lasów wyżej położonych, to wówczas taką nieprzepartą ma się chęć powędrowania w góry, że ani jej wstrzymać. Pogoda, zwłaszcza w lipcu była bardzo piękna. Byłam na jednodniowej wycieczce do ruin zamku lanckorońskiego oraz poznałam królową Zachodnich Beskidów — Babią Górę. Co za niezwykłych wrażeń dostarcza taka dłuższa górską wycieczka! Piękno natury dzikiej, zmiana widoków, gra światła na zboczach gór w połączeniu z welonem mgieł porannych, przerywanych złotymi grotami słońca, a jeszcze szum, spadającego w kaskadach strumyka, w którym woda pieni się, nabierając srebrzystych refleksów. — To wszystko trudno ująć

w słowa, ale odczuwa się to w nieziemskich nastrojach duszy.

Nigdy nie zachwyciłam się w tym stopniu przyrodą jak w tych dniach wakacyj. Zetknąwszy się z nią poraz



Na letnisku w Budzowie.

pierwszy tak blisko, odczułam jej piękno i pokochałam ją. I sądzę, że kto szuka, jak ja, prawdziwego ukojenia nerwów i odpoczynku po męczącej, zawodowej pracy w wielkiem mieście, nie wyobrażam sobie, by mógł je znaleźć w jakiegokolwiek kuracyjnej miejscowości w tym stopniu, w jakim mu ich dostarcza wieś. Spokój, odnowienie organizmu dać może tylko taka cicha, bezpretensjonalna ustron-letnisko, jakim jest Budzów. Do stacji kolejowej w Zembrzycach jest 6 km., ale droga bardzo dobra, dawny cesarski gościniec. Poczta z Zembrzyc przycho-

dzi stale, o godz. 10-ej rano. Sklepów jest kilka. Letników mało, a żydów-letników niema wcale. Ludność jest życzliwie dla „powietrzników” usposobiona. Nabrała, jarząd, jarżyn a nawet mięsa jest dosyć. Kościół bardzo skromny, ale miły, pefen Pana Boga, słuchającego cichej modlitwy.

Z punktu egoistycznego, nie powinnam „wyciągać z pod korca” mego letniska, ale po pierwsze: Chcę w ten

sposób podziękować mu, za takie przecudne i niezapomniane tło dla bajki życia. A po drugie, „Rodzina Polska” prosi — więc odmówić listu nie można. Tem więcej, że gdy będę miała swój własny dom rodzinny, będę równie pilnie czytała to, co mi szpalty „Rodziny Polskiej” przyniosą, łącząc dziś wyrazy prawdziwego poważania i szczerzej sympatji.

Hanka.

NIEPRAWDOPODOBNE A JEDNAK PRAWDZIWE!

Jeszcze tak niedawno, zda się, wczoraj — zawiązane zostało „Koło studjów gospodarstwa domowego”, a już obchodzimy uroczystość poświęcenia własnej siedziby nie małego „Koła”, korzystającego z gościnności „Ziemianek”, ale „Związku Pań domu”, których setki towarzyszą uroczystemu i radosnemu aktowi.

Siedziba oddziału warszawskiego mieści się odąd na Nowym Świecie 9, wraz z administracją i redakcją pisma, noszącego tytuł: „Pani Domu”.

Składka członkowska wynosi 1 zł. miesięcznie. Prenumerata „Pani Domu” również 1 zł.

Biuro pośrednictwa pracy dla pracowników domowych otwiera się z dniem 1 stycznia 1932 r.

A za tą wiadomością idzie cały szereg innych, dążących do ułatwienia nam naszej wewnętrznej gospodarki

jak zawiadomienie o książce p. t. „Kuchnia Nowoczesna” p. M. Chmielińskiej, o „Wzorowni i sprzedaży sprzętów”, o których „Rodzina Polska” niejednokrotnie dawała informacje i całym szeregu kursów — kształcących w dziedzinie domowego gospodarstwa. A wszystko to powstało wysiłkiem wielkiej pracy rozumnych kobiet, na których czele stanęły p. Mandukowa i Chmielińska, łącząc w swe usiłowania „całą duszę”, co stwierdzały wdzięczne słowa mówczyń przy akcie otwarcia własnej siedziby.

A że i ja tam byłam, miód i wino piłam, więc dołączam życzenia jaknajlepszego rozwoju tej niesłychanie ważnej placówki, uważając ją za cegielkę pod fundament twierdzy obronnej dla tak bardzo dziś zagrożonej rodziny, która jest podstawą każdego mocnego społeczeństwa.

L. Kotarbińska.

KĄCIK DLA KOBIET W „POLSKIM RADJO”

Co głowa — to rozum — mówi sobie wydział prasy w „polskim Radjo” i do obrad nad doskonale prowadzonym przez p. M. Ankiewiczową „Kącikiem dla kobiet” zaprasza grono pań redaktorek pism kobiecych:



Narada pań Redaktorek w „Polskim Radjo”.

„Kobiety współczesnej”, „Bluszczu”, „Pani Domu”, lub współredaktorek: „Rodziny Polskiej”, wogóle kobiet pracujących w dziennikarstwie i zbiera z ich doświadczeń pilnie to wszystko, co im dyktuje zetknięcie się bliskie z szerokimi kołami naszych kobiet.

Stawiają się też chętnie i narady ożywione dążą do tego, aby ten „kącik”, na który nasze sprawy kobiece mają tak niewiele przeznaczonego czasu, był jednak jak najlepiej wyzyskany, ku pożytkowi polskiego domu i polskiej rodziny.

Radjo ma tak wielkie znaczenie kulturalne, jest takim ożywieniem domu w najdalszych zakątkach prowincji, często takim dobrodziejstwem dla tych, którzy zmianami losu od życia odchodzą a jednak na błogosławionych falach, mają ciągle dokumenty jego rozwoju, że dbałość o treść każdego słowa, słusznie jest staraniem tych wszystkich, którzy bezpośrednio są za nią odpowiedzialni. Stwierdzając niesłychanie staranne programy naszego Kobiecego działu w „polskim Radjo”, najchętniej bierzemy wszystkie udział w debatach nad jego ulepszeniem, pragnąc, aby jednak można wyzyskać od zarządu, nieco więcej nań miejsca i czasu.

L. K.

ROBOTKI DO DZIECIĘCEGO POKOJU

Do rozwoju dziecka przyczynia się ogromnie barwne, jasne i pogodne otoczenie. Wielką radością dla matki jest okres, gdy dziecko zaczyna spostrzegać przedmioty wokół siebie, uśmiechać się do nich i gwarzy swoim, odrębnym akcentem. — Równie miły jest okres rozwijania się fantazji dziecka, kiedy to każdy przedmiot w jego pojęciu jest częścią zaczarowanej bajki, zjawiskiem nam nieznanym. Gdy jednak wczujemy się wraz z dzieckiem w ten świat cudowny, może-

my z łatwością pozyskać jego zaufanie i miłość. — Pokoik dziecka daje nam rozległe pole do wprowadzenia zdobnictwa ludowego. — Różne przedmioty możemy ozdobić tak, by się uwaga dziecka zatrzymywała na nich.

Podajemy motyw z wycinanek w krakowskim, jako wzór do aplikacji na dywanik nad łóżeczkiem. Użyjemy do tego szarego samodziąta, zaś barwne szczególnie mogą być wycięte z kolorowego płótna, lub resztek

flanelki. Podajemy również kolory, choć można je zmienić dowolnie. Motyw środkowy w kolorze ciemno-brązowym przedstawia głowę krowy z białą-szarą lysiną na czole. Pomiedzy brązowymi rogami umieszczone są płatki czerwone, oraz żółte kółeczka na zielonych nóżkach. Pod spodem tej fantazyjnej głowy



rozrasta się w dwie strony zielona gałązka z listkami. Nóżki z kopytami w kolorze ptaków, które mają w ogonach szytwe, pawie pióra, w dwóch odmiennych barwach. Całość wykończona ząbkami w kolorze zielonym. Do przydziergania pojedynczych szczegółów można użyć bawełny, lub mouliné w kolorze materiału.

Historja tego wzoru jest bardzo ciekawa i sięga

odległych czasów. Zdawien dawna istnieje wśród ludu zwyczaj, że, gdy na wiosnę zazielenia się łąka, stroją chłopcy i dziewczęta swe bydło w wieńce i bukiety z kwiatów i ziół, które umieszczają na wierzchu głowy i tak wystrojoną „chudobę“ wypędzają na paszę. Jest to uroczyste święto na wsi i zwie się takie przybranie głowy „Maik“. Zapewne wśród wiejskich pasterzy w okolicy Krakowa musiał być taki domorosły artysta, który z kolorowych papierków wyciął ten Maik i wcielił tym sposobem pojęcie umiłowanej uroczystości wiejskiej w barwną ozdobę swej chaty.



Wycinanka tak się podobała, że zaczęto ją naśladować i całe okolice stroiły swe chaty według tego wzoru.

Nietylko na dywanik jest wzór ten odpowiedni, lecz może służyć również dzieciom do wycinania ozdoby na pudełko, lub teczkę na zeszyty. Pojedyncze ptaki, wycięte z tektury i oklejone błyszczącym papierem mogą być zawieszane na hoince w święta Bożego Narodzenia.

Marja Stefkowa.

HAFTY WILANOWSKIE

należą już do przeszłości i w okolicach Warszawy lud wiejski nie ma pojęcia, że wogóle istniały bogate wyszycia na koszulach kobiecych. Można je oglądać jedynie w muzeach i jako „białe kruki“ schowane w skrzyniach-staruszek w Zawadzie, lub koło Mińska Mazowieckiego. Są one częścią stroju, schowanego na śmierć.

Hafty te były bardzo strojne, szeroko rozrośnięte na białych rękawach koszul. Starsze kobiety t. zw. zameżne, wyszywały całe bufiaste rękawy czarnym jedwabiem, ścięciem wyłącznie łańcuszkowym. Był to jedyny ścieg, używany do haftu. Młode dziewczęta miały wyszycia w kolorze wiśniowym, szyte również ścięciem łańcuszkowym. W Powsinie miewały mężatki piękne haftowane chusty na głowę. Były to duże na 1 metr chusty z cienkiego batystu, a jeden róg pokrywał bogaty wzór z różnych czarnych kwiatów, wiśniowych gałązek, gdzieniegdzie zjawiał się jakiś nieoczekiwany, żółty listek, lub kółko. Wzór taki w kolorze wiśniowym wyszyty kordonkiem, lub kreconym jedwabem na cienkim samodziale, może być piękną ozdobą do jadalni, lub na portjery do drzwi i okien. Drobnie wzoreczki z kresek przy ręce i szyi mają oryginalny charakter. Oto na cienkim, wijącym się wężyku stoja

na prostych nóżkach jakieś dziwne kwiatki, czy gwiazdki. Falbanki te wykończone bywały szeroką na 4—6 cm. koronką szydełkową. Hafty takie pojawiały się na dużej przestrzeni Polski od Zawady, przez Powsin, Wilanów, na lewym brzegu Wisły, aż po Mińsk Mazowiecki. Dziś wyparła je miejska tandeta i nawet ślad



po nich zaginął. W dobie obecnej, gdy zjawia się we wszystkim, zwłaszcza w strojach kobiecych moda z przed pięćdziesięciu laty, warto przywrócić i te piękne, a tak łatwe w wykonaniu hafty ludowe.

Można je również zastosować jako hafty, do przybrania sukien i wówczas musimy wyszywać cienkim jedwabiem stosowanym do materiału sukni.

Na Targach Lwowskich była na wystawie serweta na stolik, zdobna haftem wilanowskim.

Na cienkim samodziale szerokości 1 mtr. ułożono cztery narożniki tak rozgałęzione, że tylko na środku pozostawało wolne miejsce wielkości zwykłego ta-

lerza. Wzór wyszyty był w sposób powyżej opisany, wiśniowym jedwabiem w połączeniu z czarnym kordonkiem. Żółte kwiatki, które na chustce wiejskiej kobiety były wyrobione dosyć grubą bawełną, wyszyto na serwetce złotą nitką, co dawało bardzo piękny efekt.

Okazy strojów wilanowskich znajdują się w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie i w Krakowie w Muzeum Krajoznawczym na Wawelu. Prócz tego pisał o nich profesor Eugeniusz Frankowski i podał fotografię koszuli kobiecej z Wilanowa w książeczce p. t. „Sztuka Ludu Polskiego“.

Marja Stefkowa.

PRACA KOBIET A 8-GODZINNY DZIEŃ PRACY

Jak wykazuje statystyka, przeprowadzona przez min. rolnictwa Stanów Zjednoczonych, rzekomo „lekka” praca kobiet przy gospodarstwie domowym nawet w tym kraju o wysokich udoskonaleniach technicznych, ułatwiających pracę, pochłania im masę czasu. Tak więc obliczono, że przeciętna Amerykanka w mieście pracuje 10 15 godzin w tygodniu nad przygotowaniem jedzenia, podczas, gdy kobieta na farmie gotuje jeść przez 15.5 godzin tygodniowo. Farmerka naczynia myje przez 7.5 godzin w tygodniu, pierze 5 30 godzin, naprawia i ceruje półtorej go-

dziny, szyje 4 godziny opiekuje się dziećmi 3 45 godzin, zarządza domem 2.15 godzin, innym różnym czynnościom w gosp. dom. poświęca 4.15 godzin.

Amerykanka w mieście myje naczynia 5.15 godzin tygodniowo, 7.30 godzin czyści, 3.45 godzin pierze i prasuje, 1.15 godzin naprawia i ceruje, 4 i pół godz. szyje, 6.45 godzin opiekuje się rodziną, 4 i pół godz. zarządza domem a 4 i ćwierć godziny tygodniowo poświęca innym czynnościom.

POMOC BIEDNYM DZIECIOM

Składajmy odzież i bieliznę dla biednych dzieci. Sekcja odzieżowa T-wa opieki nad dziećmi przy Sądzie dla nieletnich m. Warszawy — Nowy Świat 22 — prosi o ofiarowywanie jej odzieży, obuwia, bielizny dla dzieci zgłaszających się o pomoc lub pozostających już pod opieką T-wa. Tyle ich nie może iść do szkoły wskutek braku najpotrzebniejszych rzeczy. A tu zima idzie i ma być — pono — sroga w tym roku.

Sędzia Wanda Grabińska-Wójtowiczówna. Tak popularna w Polsce pierwsza kobieta-sędzia, (znana pewno bezpośrednio naszym Czytelnikom przez swe odczyty radiowe), której wrażliwe na niedolę dziecięcą serce stworzyło nową insty-

tucję: Towarzystwo opieki nad dziećmi przy sądzie dla nieletnich m. Warszawy, — stanie się pewno jeszcze większą przyjaciółką i opiekuną dzieci, bo.. wyszła zamąż. Wzbogacenie serca o całą gamę nowych uczuć pozwoli jej jeszcze głębiej patrzeć w życie i wnikać w te konflikty, które — jakże często — stają się przyczyną wielu dziecięcych nieszczęść i krzywd społecznych. Młodej, a tak dzielnej i mądrej prawniczce, będącej — mówiąc nawiasem — przewodniczącą zrzeszenia prawniczek polskich i inicjatorką oraz wiceprzewodniczącą międzynarodowego zrzeszenia prawniczek — życzymy wielkiego szczęścia rodzinnego, by mogła zeń czerpać siły dla pełnienia swej cennej służby społecznej. **Redakcja.**

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. W. M. w Brwinowie. „Kalendarz polskiej gospodyni” na r. 1932 już wyszedł w dwu częściach. Pierwsza część to obszerny notatnik na każdy miesiąc roku; druga zawiera: wiadomości fachowe i informacje z zakresu gospodarstwa domowego i wiejskiego, adresy instytucji, związków i organizacji kobiecych na całym obszarze Rzeczypospolitej Polskiej. Starannie i praktycznie opracowany kalendarz polskiej gospodyni wyszedł nakładem Tow. oświaty rolniczej. Adres redakcji i administracji: Nowy Świat 9 — siedziba „Pani Domu”.

P. Annie Miercz... w Podstolisku. Oszczędność sił — czasu — pieniędzy w pracach i urządzeniach domu. oto hasło dzisiejszych kobiet, poważnie myślących. Jest

ich wiele. Więc nad temi, które tego nie rozumieją, nie trzeba rozpaczać, ale trzeba nad niemi czuwać i przykładem wciągać w kręgi pożytecznego życia.

P. Marji Korcz... w Łucku. Współczujemy Pani w tej zmianie losu. Ale, Pani droga, czyż człowiek zawsze i wszędzie nie wozi ze sobą — siebie samego? Trzeba z siebie wykrzesać ile się tylko da iskier życia — to one niezawodnie trafią na jakiś podatny materiał palny i nastąpi — ożywienie, zniknie martwota, która jest dokuczliwą, ale którą zawsze zwalczyć można, byle jak we wszystkim — usilnie chcieć. Niech Pani zorganizuje wspólne głośne czytania, wspólny zakup książek do rozłozowania po przeczytaniu.

KĄCIK DLA DZIECI

JAK SIĘ ŚNIEG POGNIEWAŁ...

Straszny mróz ścisnął ziemię. Stała woda w jeziorach i strumieniach, stwardniała ziemia jak kamień, aż raniły nogi ostre grudy. Nocą iskrzyło się niebo od gwiazd, czerwono zachodziło mdłe słońce zimowe — „na wiatr“ — mówili ludzie i frasowali się srodze, że im oziminy wymarzną, nie przykryte śniegową pierzyną, że przemarzną kartofle w kopcach, że opalu nie starczy — ciężki będzie przednówek — biadali. Oj! żeby to śnieg spadł, zarazby i mróz zelał i drzewom i roślinom zrobiłoby się cieplej pod taką osłoną. Słyszała te narzekania mała Kasia i tak powiada do swego braciszka Jędrusia: „Wiesz co Jędrzek, niema innej rady, jeno trzeba będzie do królowej Zimy iść i poprosić, by trochę ten mróz ukróciła, a śniegu nam nasypała. Słyszałaś przecie co tatulo z matulą mówili, a nam też bieda. Ani na dwór na dłużej wyjść, ani śniegulca ulepić, ani na saneczkach pojeździć, co to taka zima warta... Spodobało się to Kasine mówienie Jędrusiowi. Takie śliczne saneczki zmajstrował, tyle się cieszył na tę zimę, a tu śniegu doczekać się nie może; więc powiada: no to chodźmy, tylko, gdzie tej Zimy szukać. Już moja w tem głowa — odpowiedziała Kasia i zaraz zbierać się poczęli. Jędrzek w stare buty ojcowe słomy napakował, żeby mu ciepło w nogi było, kożuszek dostatni miał, czapkę na uszy nasadził. Kasia też się ciepło otuliła i jeszcze chustkę matuli na siebie założyła i na krzyż zawiązała, że jej ledwo koniec noska widać było, przeżegnali się i wyruszyli.

Poszli ku lasowi, bo tak Kasia miarkowała, że w tym lesie gdzieś pani Zimy zamek stoi. Idą a idą, aż tu na gałązce gil z czerwonym brzuszkiem siedzi i jakieś przemarzłe jagódki dziobie. — A gdzie to Pan Bóg prowadzi — zaćwierka. — Do pani Zimy idziemy o śnieg prosić, możebyś nam, kochany gilu, pokazał drogę?... Fiu, iuu — zagwizdał gil — drogę pokazać. Dobrzeście trafili! Pani Zima bardzo mnie poważa, bo kiedy inne ptaki przed nią uciekają, to ja właśnie na czas jej panowania przylatuję do kraju... idźcie za mną i niczego się nie bójcie... i pofrunął. — Leci ptaszek przodem, a coraz się na dzieci ogląda, czy podążają za nim. Coraz głębiej w las idą, słońce już się kłonić zaczęło ku zachodowi, cisza wokoło, trochę dzieci strach zaczął oblatywać, więc pocichutku „Kto się

w opiece“... odmawiać poczęli, ale nie zwalniali kroku. Wtem wycie się okropne rozlegnie i straszne wilczy-sko, błyskając zielonemi ślepiami, na dzieci wyskoczy, przytuliły się do siebie niebożęta, serduszka im głośno wala, ale gil krzyknie: — Posłów prowadzę do pani Zimy, o śnieg idą prosić, wara ci od nich wilku. — O śnieg — zawył wilk — dobra rzecz śnieg, łatwiej wytropić jakie jedzenie na śniegu. Jeśli tak — to siadajcie na mój grzbiet, zawiozę was, bo to daleka droga.

Z wielką paradą, na grzbiecie wilka, poprzędani przez gila, gwizdzącego wesołe piosenki, rajęchały dzieci przed lodowy pałac królowej Zimy, który skrzył się i mienił w tęczone kolory, a mróz wymalował wszystkie okna w najpiękniejsze bajki. Pani Zima siedziała na lodowym tronie, a koło niej Mróz siwy i Wiatr wiercipięta i śnieżna Zawieja, małe śnieżki kłębiły się wokoło, jako uslužne paziki, tylko śnieg w szare chmury ustrojony, siedział z boku — nałęczony. Po-deszły dzieci do królowej, pięknie się uklonili i śmiało swoją prośbę wykładają. A pani Zima się uśmiecha i powiada: Sama ja to codzień śniegowi tłumaczę co mówicie, ale cóż?! Kiedy się obraził na ludzi, że się cieszyli, że na święty Marcin śniegu nie było, że będą jeszcze długo mieli ciepło. Kiedy tak o mnie nie dbają — powiedział — to nie będzie śniegu tej zimy i niechce wyjechać na śniegowych chmurach.

— To nie będziemy w tym roku śniegulca robić! — zawołała Kasia. — Ani ja moich nowych saneczek nie spróbuję! — załamentował Jędrus — a takeśmy się na ten śnieg cieszyli!

Gdy to śnieg usłyszał uśmiech mu przemknął po zasępionej twarzy. Ha, skoro mnie tak lubicie — rzekł — to już wam muszę dogodzić. Posadził dzieci koło siebie na szarą chmurę i poleciał. Miła to była podróż nad ziemią, a wesoło było, gdy całymi garściami śnieg na ziemię sypać pomagali. Nadlecieli nad wioskę rodzinną. — Tu dużo śniegu zepchnąć trzeba — zawołały dzieci i jak się zamachnęły, tak razem z tym śniegiem przed dom rodzinny spadli i roześmiani wpadli w objęcia matusi, co właśnie ich wyszła szukać za-troskana.

H. Rostafińska-Choynowska.

A TY NOWY ROCZKU...

*Zegnajże nam stary roczku
Skończone dni twoje —
Już następcą roczek nowy
Wchodzi na pokoje...
Przynieśże nam, gościu, dużo
Słonecznych promieni,
Uśmiechów na ludzkie twarze
I jak najmniej cieni.*

H. R. Ch.

KRÓL MIGDAŁOWY

*W trzejkrólowy wieczór
Kto znajdzie migdała
W swym kawałku placka —
Temu cześć i chwała.
W złocistej koronie
Na tronie zasiądzie
Królem migdałowym
Ogłoszony wszędzie.*

*I jaką zabawę
Król sobie wymyśli,
Tę jego poddani
Stosują najściślej.
Tylko jeden wieczór,
Lecz ileż radości,
Gdy migdał da tytuł:
Króla jegomości.*

H. R. Ch.

Rozrywki Umysłowe

pod kierownictwem Warsz. Klubu Szaradzystów.

WSZYSTKIM NASZYM PRZYJACIOŁOM I MIŁOŚNIKOM ROZRYWEK UMYSŁOWYCH
PRZESYŁAMY SERDECZNE STAROPOLSKIE ŻYCZENIA „DOSIEGO ROKU!”

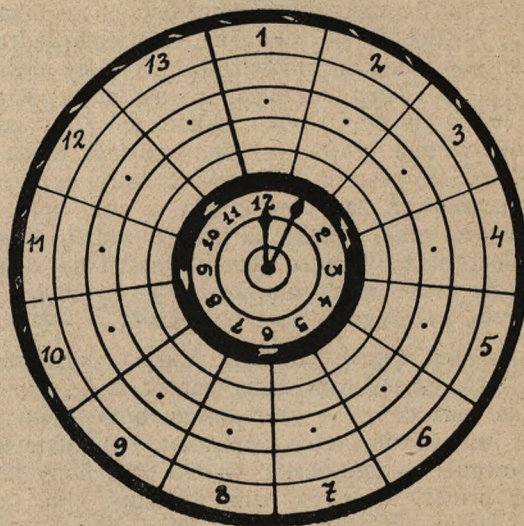
PIERWSZY KONKURS KWARTALNY.

Po zakończeniu w numerze grudniowym 1931 konkursu kwartalnego, rozpoczynamy w niniejszym numerze **Pierwszy Konkurs Kwartalny** na rok 1932. Każdemu z uczestników za rozwiązanie zadania zaliczymy pewną ilość punktów, które po zakończeniu konkursu będą zsumowane. Zdobywcy największej ilości punktów, otrzymają **nagrody turniejowe**. Prócz tego za rozwiązanie choćby jednego zadania przyznane będą **nagrody miesięczne**. Najładniej wykonane (tuszem) rozwiązania rysunkowe i najlepsze rozwiązania wierszowane, będą **nagrodzone oddzielnie** i umieszczone na łamach działu. Poza tem dla autorów zadań najlepszych, którzy uzyskają największą ilość głosów, przeznaczy wydawnictwo **nagrody specjalne**. W tym celu przy nadsyłaniu rozwiązań zadań końcowych konkursu, podać należy, które z umieszczonych zadań rozwiązujący uczestnik uważa za najlepsze. Wszystkie nagrody udzielone będą przez losowanie, a pomiędzy osoby nienagrodzone zostaną rozlosowane **nagrody pocieszenia**. Konkurs zakończony będzie w numerze marcowym. Rozwiązania nadsyłać należy w terminie trzytygodniowym po wyjściu każdego numeru, pod adresem: Redakcja „Rodziny Polskiej” — Warszawa, Krak. Przedm. 71, z dopiskiem „Kącik rozrywkowy”.

Znaczenie wyrazów:

1. Rzemieślnik.
2. Część rośliny.
3. Sztaba, do ściągania ścian i belek.
4. Zły pędzel (kiść kuchenna).
5. Rodzaj łódki.
6. Gatunek wyborowy cukru trzcinowego.
7. Pewna ilość pieniędzy.
8. Rodz. arbuza.
9. Skrzynia do wożenia kartofli.
10. Kran.
11. Kwietnik (trawnik).
12. Czapka błazeńska z dzwonekami.
13. Klamra (ankra).

Jawna Kowalska, czł. W. Kl. Sz.



1. SZARADA ŚWIĄTECZNA.

(5 punktów).

W Betleem w stajence Bóg się drugie-trzecie!
Przychodzi odkupić Krwią Swą ludzkie winy...
Biedne i niewinne, siedem-ósmie Dziecie
Skazane na męki za złe nasze czyny.
Nad stajenką gwiazda tęcza zaświeciła.
Dziewiąte-trzy-czwarte były to radosne. —
Najświętsza Panienska Swe dziecię pieściła.
Któremu z ócz łezki spływały załosne.
Na sianku spoczywał — Odkupiciel świata —
Cały raz-dziewiąte w chłodzie zimy srogiej,
Bez ciepłej sukienki, — rączki z zimna spletał.
Mile uśmiechając się do Matki drogiej.
A Marja szczęśliwa takim słodkim darem
Swego pięć-szóstego... Tuli Go od chłodu
Do łona, ogrzewa ust miłości żarem.
Bo Jej Syn siedm-piąty — choć boskiego rodu...
Uboga dwa-trzecia i pierwsza — choć święta —
Bez żadnej służebny „umową zawartej”, —
Dziecina, — choć z Ducha Świętego poczęta —
Nie miała swej „niani”, ani siedem-czwartej.
Lecz się Matka Boga z losem dziewięć-trzecie...
I woli ubóstwo, niż bogactw przepychy.
Zato pastuszkowie uczyli Jej dziecię,
Oraz trzej królowie, n'eznający pychy.
Radujmy się przeto z przyjścia na świat Bożo,
Śpiewajmy sześć chwałę miłe Mu Hosanna!
Niechaj miłość nasza Bogu będzie droga,
Siedm z niej Dziecię rade, rada Marja Panna.

L. Ciesielski, czł. W. Kl. Sz.

2. LOGOGRYF NOWOROCZNY.

(3 punkty).

W kratki danego koła, poczynając od pasa zewnętrznego, wpisać ku środkowi 13 pięcio-literowych wyrazów o podanem znaczeniu. Litery w pasie środkowym (oznaczonym punktami) czytane w kierunku zegarowym, dają rozwiązanie.

KOMUNIKAT KLUBU SZARADZYSTÓW.

Z okazji dziesiątej rocznicy istnienia Klubu Szaradzystów w Warszawie wyszedł z druku w pięknej oprawie trójbarwnej, ilustrowany pamiętnik p. t.: „X-lecie Klubu Szaradzystów”, na którego treść między innymi składają się: krótka historia Klubu, oraz rozwoju rozrywek umysłowych, uwagi o tworzeniu szarad, rebusów i innych zadań z podaniem wzorów, serja zadań do rozwiązania z nagrodami, wyciąg główniejszych punktów statutu Klubu i t. p. Poza tem wydano również piękny żeton pamiętkowy. Ceny (kosztów jedynie własnych) wynoszą za pamiętnik 3 zł., za żeton 4 zł. (i ewent. koszta przesyłki 1 zł.). Nabywać je można w Klubie Szaradzystów — Warszawa, ul. Miodowa 7 — konto czekowe P. K. O. Nr. 8975.

SKRZYŃKA POCZTOWA.

W P. N. K. Kozł. Warszawa. Za łaskawą szczerokość owszem dziękujemy i uwagi podane w liście z 10/XI. 31 uważamy za słuszne. Dotyczą one jednak kierownictwa poprzedniego, za które odpowiadać nie możemy.

M. Śl.

Wydawcy: Stow. M. S. Księży Palotynów.

Redaktorka działu kobiecego: Lucyna Kotarbińska.

Redaktor: Józef Czarnecki

Wykonano w Drukarni Archidiecezjalnej, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71.

<http://rcin.org.pl>

ZE ŚWIATA RADJA

K a l e c y.

Na dnie oceanu żyją podobno ryby, które nie mają wcale oczu. Nie uważają się jednak za upośledzone przez tak zwaną matkę naturę. W ich odczuciu bowiem niema na co patrzeć: jest tak ciemno, że nawet ryś-ostrowidz przez lornetkę niczy nie zobaczył.

Kret również nie uważa siebie za kalekę, choć też nic prawie nie widzi. Lubi się grzebać pod ziemią i polować tam na niemniej ślepe dżdżownice. W tych warunkach dobre oczy byłyby luksusem.

Widzimy więc, że niekażdy niewidomy jest kaleką.

I nie każdy garbaty...

Dromedar ma nawet dwa garby i, mimo to, bardzo się podoba pani dromedarowej.

Kalectwo jest zatem rzeczą względną. Stonoga martwi się, gdy ma tylko 99 nóg. Pająkowi osiem wystarcza. Koń doskonale biega na czterech. Kusociński na dwóch. A wąż boa ściga z powodzeniem raczę antylopy, ani jednej nogi nie mając.

Spróbujmy teraz odpowiedzieć na pytanie: co to jest kalectwo?

Kalectwo jest to defekt, nie pozwalający osobnikowi korzystać z życia w takim stopniu w jakim wyzyskują je istoty jemu podobne. Posiadanie jednej tylko nogi samo przez się nie jest kalectwem. Ślimak ma tylko jedną nogę i to mu karjery nie psuje. A człowiekowi — przeciwnie. bardzo przeszkadza.

Ale genjusz ludzki, który usuwa defekty przyrodzone, daje — protezy kulawym, obdarza mową głuchoniemych, przywraca oczy ślepcom — ten genjusz tak rozszerzył ludzka możliwość korzystania z życia, że tworzy nowe też rodzaje kalek.

Bo, proszę, czyż nie jest w obecnym, dwudziestym wieku, ciężkim kaleką n. p. każdy analfabeta? Wy, którzy w tej chwili czytacie te słowa, czytacie je bez żadnego trudu, postawcie się myślą w położenie człowieka, który nie potrafi odcyfrować jakiegos najwykleszego napisu; który wysiadł z wagonu, stanął przed szyldzikiem „dla pań”... „dla panów” i myśli, że tam jest bufet kolejowy. Proszę tylko wyobrazić sobie bezradność takiego nieszczęśnika!

I pomyśleć, że są w naszym kraju okolice, gdzie połowa ludności z takich właśnie kalek się składa!

To wszakże w danym wypadku jest pocieszające, że kalectwo analfabety oficjalnie już zostało uznane i kurację samo państwo bierze na swe barki.

Gorsze są te kalectwa, z których nie zdajemy sobie sprawy.

Oto dzisiejszy człowiek przestał już być pelczaczem naziemnym, jest rybą, jest ptakiem... Naród, nie posiadający łodzi podwodnych, naród, który nie fruwa — to także kaleka w porównaniu z innymi narodami. Albo weźmy taką rzecz:

Czy w dwudziestym wieku nie jest głuchym kaleką człowiek, zdolny słyszeć to tylko, o czym mówi jego najbliższe otoczenie? Co on, biedak, może wiedzieć? Czy może się czuć obywatelom świata jak inni jego współ-

cześni? Przeczyta jedną, drugą gazetę, pójdzie do kawiarni, posłucha co tam plotkują i — koniec.

A w tym samym czasie jego sąsiad nastawia sobie radio, jest na odczycie w Warszawie, na koncercie w Wiedniu, na posiedzeniu parlamentu w Londynie... Znów trochę przekreśli kółko i przenosi się do medjołańskiej La Scali, lub wali do Wusterhausenu, by się dowiedzieć, co tam knuje pan Hitler, czy inny Treviranus... A chce się pośmiać — nastawi sobie Moskwę i posłucha bredni, rozgłaszaných „ko wsiem, ko wsiem, ko wsiem”... W godzinę obleci całą Europę i wraca do Warszawy, która mu wszystkie informacje streści, uporządkuje, powie coś o nowych książkach, przyśle wesoły feljeton, muzykę taneczną, słuchowisko...

No, powiedzcie, czy człowiek dzisiejszy pozbawiony tak wyostrzonego słuchu, to nie kaleka?

Oczywiście, kaleka! Kaleka, nie mogący korzystać z życia w równym stopniu z innymi. Nie dociera do niego cała masa ciekawych i pożytecznych wiadomości, pozbawiony jest mnóstwa bezpośrednich wrażeń, dostępnych każdemu z jego bliźnich... Słowem jest to człowiek wczorajszy, jakby przez omyłkę, plątający się po nowoczesnym świecie.

A być takim, chodzącym antyktem — to doprawdy, najcięższe kalectwo

(bh).

Dwie potęgi.

Z chwilą, gdy kilka lat temu wkroczyło w życie współczesnego człowieka radio, wydawcy pism codziennych z trwogą zaczęli patrzeć w przyszłość, uważając stację radiową i aparat odbiorczy za wrogów czytelnictwa. Aczkolwiek nie wszyscy wydawcy byli tego zdania, to jednak większość ich skłaniała się ku twierdzeniu, iż radio będzie konkurentem prasy. Szybki rozwój radjofonji, która osiągnęła społeczeństwa wszystkich państw cywilizowanych, wykazał, iż przypuszczenia te były oparte na mylnych przesłankach.

Praca radjostacji i prasy — dziedziną na pozór bardzo bliskie, oddalają się od siebie przede wszystkim dzięki różnym środkom technicznym, a przede wszystkim formie docierania do słuchacza czy czytelnika. Radio postawiło sobie za główny cel pracę społeczno-wychowawczą oraz działalność rozrywkową. Rzecz jasna, iż zakres działalności stacji oraz treść jej pracy obejmować musi życie i wszystko to, co się dzieje, co jest ruchliwe i aktualne, gdyż w przeciwnym razie programy radiowe byłyby nudne, a tem samem zrażałyby słuchaczy.

Aktualność i życie są więc bodźcami w pracy tak radiowej jak i prasowej.

Jednakże patrząc na statystykę audycji stacji nadawczych, łatwo spostrzec można, że największy procent audycji, poświęcony jest muzyce. Ten więc ogromny dział w żadnym wypadku nie ściera się z interesami prasy. Następnym, co do wielkości działem programowym audycji radiowych, są odczyty i feljety. Tu-

taj mógłby już ktoś powiedzieć, że odczyt — to artykuł w dzienniku, a feljeton radiowy jest równoznaczny z feljetonem, zamieszczonym w piśmie codziennem. Tak jednak nie jest. Dlaczego.

Przedewszystkiem tak odczyt jak i feljeton radiowy wymagają specjalnej formy, przystosowanej do mikrofonu. Następnie zaś czytelnik pisma codziennego nie skrepowany jest programem radiowym, godzina ani miejscem pobytu, podczas gdy radjostłuchacz, chcąc wysłuchać jakiejś audycji musi się liczyć z temi okolicznościami. Niezmiernie ważny jest fakt, że czytelnik pisma może w każdej chwili wrócić do przerwanego zdania czy też myśli, która mu się zdaje niejasną, podczas gdy radjostłuchacz musi chwycić słowa, płynące na fali radiowej z całą uwagą, gdyż one nie wracają.

Z biegiem lat prasa pod wpływem przekonującej praktyki przyszła do przekonania, iż odczyt i feljeton radiowy nie stanowią dla niej żadnej konkurencji. Pozostała jeszcze otwarta kwestja nadawania przez radio aktualnych wiadomości prasowych. Sprawa ta była bastjonem, z za którego prasa ostrzeliwała radio, uważając, iż ten dział pracy radiowej jest dla prasy codziennej bardzo groźny. I tu jednak w jednolitym do niedawna sądzie opinii prasy codziennej pokazały się pod naporem pouczającej praktyki rysy, tak, że pogląd na tę sprawę nie jest już jednolity. Część wydawców twierdzi, iż radiowe wiadomości prasowe są konkurencją dla prasy, część zaś jest innego zdania. Nawet w Niemczech, gdzie prasa codzienna stoi bardzo wysoko, a czytelnictwo jest rozwinięte ogromnie, jest już coraz więcej wydawców, przychyłających się do zdania, że radio nie tylko nie jest konkurencją prasy, ale w dużym stopniu przyczynić się może do wzrostu czytelnictwa.

Niezmiernie ciekawe uwagi na ten temat znajdujemy w jednym z ostatnich numerów „Prasy”, organu Polskiego Związku Wydawców. W artykule, poświęconym ogłaszaniu wiadomości prasowych przez radio w Niemczech, korespondent pism polskich w Berlinie p. M. Weinrych stwierdza, iż część wydawców niemieckich nie obawia się konkurencji radja. „Są oni zdania — pisze autor artykułu — że wysłuchanie przez wielomiljonowe rzesze słuchaczy niemieckich jakiejś wiadomości, budzącej powszechne zainteresowanie, przyczynia się do wzrostu czytelnictwa przez niecenie zainteresowania wśród radjostłuchaczy do pism, podających z reguły materiał znacznie obszerniejszy i wszechstronniejszy niż sucha notatka radjowa”.

Podanie przez radio krótkich, pozbawionych wszelkiego zabarwienia politycznego i szerszego omówienia informacyj prasowych, nie powinno wywoływać obaw w sferach wydawniczych, gdyż radio, dążąc do podniesienia kultury, przyczynia się do krzewienia czytelnictwa, a tem samem idzie po linii interesów prasy i książki.

Linja interesów dwóch potęg — radja i prasy — bieć będzie zawsze równolegle. (

JAKĄ KSIĄŻKĘ DZISIAJ ZAMÓWIĘ?

POWIEŚCI KATOLICKIE:

SPILLMAN JÓZEF KS.

Tajemnica spowiedzi

Powieść Zi. 3.—

Są książki, które nigdy nie tracą na aktualności, które — można powiedzieć — nigdy się nie starzeją. Do takich książek należy powieść Tajemnica spowiedzi, która doczekała się w polskim języku obecnie już czwartego nowego wydania.

SKOLASTER H. KS.

W pętach guślarzy

Powieść Zi. 2.45

Autor — długoletni misjonarz w Afryce — opowiada nam barwnie i zajmująco o całej grozie pogańskiego zabobonu i guślarstwa. Epizody pełne dramatycznego napięcia przykuwają silnie uwagę czytelnika.

WANDA GROCHOWSKA.

Syn rozbójnika

Piękna polska powieść obyczajowa, tak pogodna i dobra, że z ciekawością czytają ją starzy i młodzi. Zi. 2.—

CZESKA-MACZYŃSKA MARJA

Rycerz Chrystusowy

Powieść historyczna z czasów świętego Wojciecha. Znakomita autorka „Powieści Chrystusowych” opisuje w tej nowej powieści tragiczne dzieje grzesznicy. Zi. 4.25

HIEROMIN ZALESKI

Na rozdrożu

Powieść Zi. 3.50

KSIĄŻKI RELIGIJNE:

LENARTOWICZ J.

Sto rad i upomnień

Złota książeczka — istna skarbnica do-
brych rad życiowych dla kobiet i panien. Zi. 1.—

HIRSCHHAUEROWA

Modlitwa Pańska

Autorka skreśliła tu prosty lecz treści-
wy wykład Modlitwy Pańskiej i Pozdrowie-
nia Anielskiego. Zi. —.90

CHAUTARD O.,

Życie wewnętrzne a duch apostolstwa

„Działalność katolicka, jeżeli ma mieć
prawo do tej nazwy i ma przynieść praw-
dziwe korzyści społeczeństwu i Kościołowi,
nie może być tylko zewnętrzną, ale musi
być głęboką, musi docierać do dusz i wy-
chodzić od ludzi, którzy sami z sobą i Pa-
nem Bogiem są w porządku”. (Książę
Arcybiskup Sapieha).

Dzieło to jest dla polskiej literatury
ascetycznej prawdziwie cennym nabytkiem. Zi. 4.—

M. S. P. KS.

W ręce Ojca

40 opisów ostatnich chwil życia i mo-
mentów śmierci ludzi znanych i nieznanych.
Jak nie czerwona przewijają się głębokie
myśli apologetyczne przez stronicę tej pię-
nej książki. Zi. 3.50



Cena Zi. 2 —



Cena Zi. 3.—



Cena Zi. 3.—

ZAMAWIAĆ:
Wydawnictwo Księży Pallotynów
WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 71